WICI WIELKOPOLSKIE
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE
ROK III WIELKOPOLSKA LIPIEC—SIERPIEŃ 1933 NR. 7/8 (22/23)
Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

STANISŁAW CZERNIK:

MYŚLI O PROGRAMIE POETÓW ZIEMI

Współczesny, coraz silniej zaznaczający się u nas, zwrot do regjonalizmu, będący do pewnego stopnia rewizją dotychczasowych założeń naszego rozwoju kulturalnego, kieruje uwagę na t. zw. rzeczy małe.

Sens regjonalizmu dla rozwoju kultury leży nietylko w odwoływaniu się do przeszłości. To jedna strona. Druga, ważniejsze — to działanie dla przyszłości. To hasło, by każdy regjon, każda okolica, nawet każde miasteczko nabrało takiej treści i formy, które uczyniłyby z niego istotne centrum świata.

Regjonalizm — to pion wbity w podglebie, zmierzający ku wnętrzu ziemi. Antyteza dotychczasowych pozornych lotów t. zw. nadziemskich, kugwiezdnych, nadzwyczajnych, niedościgłych, które oczywiście miały też sens. zakreślony im przez prawo rozwoju w okresie poprzednim.

Z tych założeń wypływać musi program regjonalistów, w szczególności bliżej nas tutaj obchodzący program poetów ziemi, poetów opierających swą pracę na pionie regjonalizmu. Dotyczy on tematyki, ale jest to sprawa mniejszej wagi i najłatwiejsza do rozwiązania. Główna trudność skupia się w obrębie t. zw. formy poetyckiej.

Wyobrażam to sobie tak:

W zakresie *tematyki:* —

Jesteśmy właściwie żywą cząstką naszej ziemi, ekstraktem podglebia przedewszystkiem kraju naszych lat dziecinnych i młodzieńczych. Poeci, jak wiadomo, obdarzeni znacznym stopniem wrażliwości, oznaczają się szczególną skłonnością do swych regjonów. Możnaby tysiącami przykładów uzasadniać tezę, że *najpiękniejsza i najdojrzalsza poezja powstawała na podłożu przywiązania poety do stron rodzinnych.* Podglebie rodzinne jest najgłówniejszym fundamentem zasobów treściowych każdego poety.



PIOTR CHMURA DROGA (ol.)

U nas najwymowniejszymi przykładami tej tezy są — Mickiewicz, którego poezja wyrosła z młodzieńczych przeżyć nowogródzko-wileńskich, aż zanikła po zupełnem wyczerpaniu tego podłoża przez „Pana Tadeusza"; Wyspiański cały widzi przez pryzmat rodzinnego Krakowa; Kasprowicz nietylko w „Hymnach", ale nawet w „Księdze ubogich", pisanej w górach, pozostaje pod zdecydowaną sugestją nizin wielkopolskich.

Z tego wniosek nietylko dla poetów-regjonalistów. Przylgnięcie do podglebia, zwrot do świata najsilniejszych, bo młodzieńczych, przeżyć — to najpłodniejszy w skutki, dokumentami najistotniejszej naszej treści poparty zakres tematyki. Oczywiście nie można tego pojmować jednostronnie — dla jednych podglebiem będzie ziemia pól i lasów, dla innych — ziemia ulic i przedmieść, kopalń i fabryk. Nie znaczy to, że poezja powinna wyłącznie zamknąć się w tych granicach, — wskazuje nam jednak główny kierunek poszukiwań poetyckich, uczy, że nie egzotyzm, zagraniczne podróże, nadzwyczajne wymysły, sztuczna fantastyka, lecz najprostsze nawet młodzieńcze przeżycia są najbardziej wartościowym materjałem dla poetów. Oczywiście, najtrudniejsze to do przyjęcia dla

młodych, u których proces skupiania się tej podstawowej treści nie dobiegł jeszcze do końca.

W ten sposób utwór poetycki, uwarunkowany bogactwem naszego podglebia, będzie się zbliżał do wartości dokumentu, będzie się stawał autentykiem. Hipoteza, jakoby poezja była przedewszystkiem zmyśleniem, stanowczo przez poetów ziemi powinna być zarzucona.

A teraz dalszy wniosek, dotyczący t. zw. *formy*. Naszem zdaniem forma poetycka najściślejszemi wiązaniami łączy się z treścią, czyli z materjałem istotnie przez nas nabytym. Każda istotna treść, oryginalna, dokumentarna domaga się nadania jej własnej, odrębnej formy. Praca poety nad zdobyciem tej formy dla każdego wiersza jest istotą poetyckiego wysiłku. Pod tym względem jesteśmy w znacznym zastoju. Wysiłki nasze naogół nie idą w kierunku wynalazczości, raczej ograniczają się do przystosowania się do odwiecznych szablonów w zakresie rymu, rytmu i strofy. Nie można np. jakąkolwiek potrzebą artystyczną wytłumaczyć nagminnego używania czterowiersza lub rozpowszechnienia sonetu. Jest to niewątpliwa droga łatwizm, która prowadzi do rozpowszechnienia wierszy niezwykle gładkich, których wartość artystyczna równa się wartości dobrze sheblowanej deski.

Poeci ziemi, którzy wiersz swój opierają na dokumencie istotnych przeżyć, muszą dla każdego z nich odnaleźć odpowiednią, oryginalną, własną formę. Względnie muszą jej szukać. W tem kryje się tajemnica rozwoju poezji w naszym okresie: *ile prawdziwych wierszy, tyle nowych układów poetyckich,* tyle prób w walce o właściwą formę.

Z tego w ostatecznym wyniku wytworzyłby się przez powolne uciążliwe i pozornie nieefektowne narastanie właściwy *styl poetycki polski,* o co poetom regjonalistom przedewszystkiem chodzi.

Powyższe naogół luźne uwagi nie roszczą sobie jakiejkolwiek pretensji do ścisłego rozwiązania złożonych zagadnień programu poetyckiego. Są to tylko — jak rzekłem — luźne myśli wysnute z długoletniej praktyki poety.

ALFRED JESIONOWSKI:

JAN KASPROWICZ NA ŚLĄSKU

Opuściwszy po przykrem zajściu z Prof. Quadem gimnazjum inowrocławskie udał się Kasprowicz do Poznania. Ale i tu nie popasał długo: dano mu consilium abeundi i Kasprowicz przeniósł się do Opola. Z tego pierwszego zetknięcia się z Śląskiem nie wyniósł Kasprowicz wiele. W Opolu nie czuł się dobrze. Świadczy o tem fakt rychłego opuszczenia gimnazjum opolskiego, które nastąpiło, według własnego wyznania Kasprowicza[1]) na skutek zbyt otwartego wystąpienia jako Polak. Rozmawiał z kolegami po polsku i przyłapał go na tem Prof. Knutigen: „Himmeldonnerwetter, Kasprowicz, Sie haben wiederum polnisch gesprochen". — To starczyło, by Kasprowiczowi poradzono wynieść się z Opola. Ale niezależnie od szykan Niemców, do których Kasprowicz był przyzwyczajony, ciążył mu pobyt w Opolu. Być może, dla tego, że poraz pierwszy znalazł się daleko od domu, od Wielkopolski. Może ciążyło ambitnemu Janowi stypendjum Kościelskiego, które mu umożliwiło kończenie gimnazjum; może zetknął się tutaj poraz pierwszy z materjalną i moralną rządzą ludu polskiego. W wierszu, napisanym w Opolu mówi:

„i dziś miast chwili rajskiej, ułudnej,
trzeba wieść żywot gorzki i trudny —
Szczęścia się kwiatek przełamał"
(„Rezygnacja"[2])

Nastrój tego wiersza wyraża przygnębienie. Zupełnie prawdopodobnem jest, że to przygnębienie ma tło patrjotyczne. Dola ludu polskiego na Śląsku właśnie w tym czasie była niesłychanie smutna. Lata 1880—1890 — to lata najsilniejszego ucisku germanizacyjnego, to okres krystalizowania się polskiej myśli politycznej wśród niesłychan. trudności: trwogi ludu, braku inteligencji polskiej, zerwania definitywnego z Centrum. Wielkopolanie zaczynają się intensywniej interesować położeniem rodaków na Śląsku, wysyłają tam wybitne jednostki, z których kilku odegrało rolę ważną w dziale odrodzenia narodowego Śląska. Popierają politykę polską na Śląsku moralnie i materjalnie. Sami Niemcy nazywali polski ruch polityczny na Śląsku Grosspolnische Umtriebe[3]). Kasprowicz, nie taki już młodziutki, żeby sobie nie zdawał sprawy z tej sytuacji — musiał odczuć boleśnie tę nieszczęśliwą sytuację polskich górnoślązaków. Twórczość poetycka, dość skromna zresztą w tym okresie, nie świadczy o specjalnem interesowaniu się temi sprawami. Wiersz „Synowie ludu"[2]) mógł był być zarówno echem lektury o problemach socjalnych i wypływem młodzieńczego entuzjazmu dla rządzy robotników, jak też wypływem obserwacyj na tle ucisku ludu polskiego przez rząd pruski i niemieckich wielmożów. Z pewnością jednak trudno stwierdzić, do czego odnoszą się słowa:

„Trzeba raz wzywać ciemięzcę do boju
A nie w czczym dymie pokory i modleń
Szukać zbawienia i szukać spokoju —
Dosyć spokoju, nam walczyć potrzeba!"

Dwa pozostałe wiersze napisane w Opolu („Pożegnanie" — „U studni"[2]) osnute są na tle motywów ludowych, zawierają pewne, mało przejrzyste aluzje:

„W ziemi tej, w ziemi tej
Tak niemieckie wyją psy,
Że zgłodniałym rzucić trzeba
och! ostatnią skibę chleba.

Z pobytu w Opolu pozostało Kasprowiczowi pewne wspomnienie, o którem mówi w przedmowie do książeczki Ligonia[4]), wspomnienie charakterystyczne, dla siły polskiej poezji, polskiej kultury: „Dla przykładu i zachęty zapisałem się na nadobowiązkową naukę jęz. polskiego, choć jako Poznańczykowi, wychowanemu poprzednio aż do ostatniej klasy w gimnazjach wielkopolskich, nauka ta mi całkiem już wystarczała. I o to do dziś dnia mam przed sobą jeden z najbardziej rozczulających i największą otuchę wlewających obrazów: uchodząc ogólnie za Niemca, w każdym razie, jak mi mówiono, do polskości nie przyznający się publicznie nauczyciel naszego języka ks. Cytronowski, czytając z katedry „Mohorta" — tak się rozrzewnił, że łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach".

Czas spędzony w Raciborzu, dokąd poszedł Kasprowicz po opuszczeniu Opola, nie zostawił śladów o twórczości Kasprowicza, jest natomiast znamienny dla pogłębienia uczucia patrjotyzmu Kasprowicza i pewnego radykalizmu polskiego przyszłego Poety. „Widząc groźne postępy wynaradawiającej działalności Niemców zapragnął w swem patrjotycznem poczuciu bronić Śląska wespół z innymi przed wielkiem niebezpieczeństwem germanizacji. A było już bardzo źle. Nawiązując więc łączność z polskimi działaczami pomaga uświadamiać im zahukany knutem pruskim lud śląski".[5]) Działalność ta pozostawiła w duszy Kasprowicza trwałe ślady, była bódźcem do dalszej pracy, ale zwróciła uwagę władz szkolnych, które mu podczas matury poradziły, by gimnazjum raciborskie dobrowolnie opuścił. Oto, jak według relacji

[1]) Marja Janowa Kasprowiczowa: Dziennik Cz. III/IV. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej.

[2]) Jan Kasprowicz: Dzieła T. I. Kraków. Wydawn. Literacko-Naukowe v. Meiselsa.

[3]) Adam Benisz: Górny Śląsk w walce o Polskość. — Katowice 1930, str. 299.

[4]) J. Ligoń: Poeci Górnego Śląska. Książnica Atlas 1921 r.

[5]) Stan. Waszak: Wielki Pieśniarz z nad Gopła — Inowrocław 1930, wyd. Knast, str 80.

Marji Janowej Kasprowiczowej[1]) sam poeta ten epizod opowiada: „W Raciborzu podczas matury, gdy pisałem grecką pracę, prof. Muelenbach zbliżył się do mnie — wykryło się właśnie, że brałem czynny udział w agitacji pomiędzy Ślązakami — i powiedział mi ostro: „Werden Sie nicht von selbst weggehen, so werden Sie mit der Polizei nach Ihrem Polen weggeschafft werden." — Ani chwili nie namyślając się, rzuciłem mu wprost w twarz flaszkę stojącą przede mną atramentu". Z pobytem w Raciborzu łączy się też wspomnienie Kasprowicza, przytoczone również w „Dzienniku" Marji Kasprowiczowej[1]). „Z gimnazjum w Raciborzu" opowiada Kasprowicz „przypominam sobie dobrze, między innymi nauczyciela religji księdza doktora Arno Grimma, autora gramatyki języków baskijskich. Ten chrzczony żyd miał sympatję dla Polaków, którą wyrażał na swój sposób. Pewnego razu, nie znalazłszy u mnie podczas rewizji książki do nabożeństwa, strofował mnie — A, no! — no! Kasprowicz, Sie wollen ein Pole sein, und haben nicht mal ein Gebetbuch." O dalszym ciągu tych wspomnień śląskich ciągnie Kasprowicz: Z kolegami śląskimi bywało rozmaicie. Przeważnie synowie chłopów polskich, w szkole jednak ze swą polskością się taili. Sam uważałem niektórych za Niemców, a później dowiedziałem się, że na stanowisku księży czy lekarzy — a zwłaszcza księży, byli gorącymi patrjotami polskimi." — Niestety, w rzeczywistości tych księży-polaków, zdecydowanych patrjotów, szczególnie w tym okresie, było niezmiernie mało. Przewaga trzymała się kurczowo Centrum, często stawali się więc germanizatorami gorszymi od Niemców samych, co zresztą sam Kasprowicz podnosi w swych korespondencjach ze Śląska. „Kolegom tym", powiada dalej Kasprowicz „zawdzięczam pewną znajomość Górnego Śląska, bo nieraz jeździłem albo chodziłem z nimi do ich rodzinnej wsi. Coprawda byli i tacy pomiedzy nimi, którzy od Polskości odpadali".[6])

Opuściwszy Racibórz zdał Kasprowicz ostatecznie maturę w Poznaniu. Studja uniwersyteckie rozpoczął w Lipsku, przeniół się jednakże po krótkim czasie do Wrocławia, gdzie przebywał od semestru zimowego 1885 r. do półrocza 1887 r. Przeniósł się tam, jak twierdzi Kołaczkowski[7]) „w nadziei łatwiejszego znalezienia tam zarobku. Brał żywy udział w ruchu robotniczym, patrjotyczno-socjalistycznym, za który dostał się na skutek denuncjacji pierwszej swej żony(?) do więzienia". Zbliżywszy się w czasach gimnazjalnych do ludu górnośląskiego, skazanego na wynarodowienie, podjąłem kontakt w Wrocławiu. „Młodzieniec przejęty ideami patrjotycznemi, nie skażonemi jeszcze żadną doktryną socjalną, spojrzał na polski lud górnośląski, czystem, jak tęskniące Gopło okiem, okiem brata-rodaka."[8]) To spostrzeżenie Wasilewskiego nie zupełnie jest zgodne z prawdą. Już w Lipsku bowiem interesował go ruch socjalny, „tam się zetknął z prądami materjalistycznemi i socjalizmem"[5]) — co jednak nie przeszkadza, że mógł był spojrzeć na lud górnośląski tylko okiem Polaka-patrjoty. Że tak istotnie było, tego dowodzą korespondencje Kasprowicza do petersburskiego „Kraju" (Piotr Huta pseud.) i do lwowskiego „Przeglądu Społecznego" (Fr. Szyba pseud.). Na okres wrocławski przypada jedno z najważniejszych i najtragiczniejszych wydarzeń w życiu Kasprowicza: jego małżeństwo z p. Szymańską. Wasilewski pomija to wydarzenie zupełnie — ale i sam Kasprowicz nie poruszał tej kwestji wobec osób postronnych. Dużo jego kolegów w Wrocławiu, którzy z nim się często spotykali — nic o tem małżeństwie nie wiedzieli. Żyje w Mikołowie sędziwy bojownik narodowy X. Prałat Skowroński, jeden z kolegów Kasprowicza w Wrocławskim okresie, który sporo pamięta z tych czasów i wraz z innymi się spotykał z Kasprowiczem na Tauenzien strasse w Wrocławiu. Kiedym go zainterpelował o małżeństwo Kasprowicza — był zdumiony. Nic o tem nie wiedział, ani powiedzieć nie mógł. Pierwszy wspomina o tem nieszczęśliwem małżeństwie Kołaczkowski.[7]) „Pierwsze małżeństwo było niewyraźnym krokiem młodzieniaszka, który dał mu gorzkie doświadczenie. Cały ten dramat charakteryzuje oscylację młodego Kasprowicza między wielką zmysłowością i wielkim idealizmem. Była to Polka (nazywała się Szymańska, mój przyp.) zamieszkała w Wrocławiu, starsza od poety — ale piękna. Małżeństwu nie stało nic na przeszkodzie, była to bowiem osoba zamożna, posiadająca willę w Wrocławiu. Usposobienie jej jednak w wysokim stopniu histeryczne prowadzące do niesamowitych awantur i erotomanji, unieszczęśliwiło poetę i otworzyło mu oczy na położenie, w jakiem się znalazł. Walerja Kryszewska, przyjaciółka lat młodzieńczych, której się poeta krótko po ślubie, — podczas pobytu w Poznaniu — zwierzał, iż ma „chałupę i kobietę", że poeta na uczcie, na której wszyscy byli „zawiani", dał się namówić na ślub cywilny, a potem kroku tego żałował. Rodzice Marjana Seydy doradzili bawiącemu wówczas w Poznaniu Kasprowiczowi, aby się rozwiódł. Kasprowicz poszedł za ich radą a denuncjacja i następnie więzienie były aktem zemsty opuszczonej żony. Ta wkrótce potem rozchorowała się na nerwy i umarła, zostawiając poecie w testamencie willę, której on jednak nie przyjął." („Miłość"[9]) Skonfrontujmy tę apodyktyczną relację Kołaczkowskiego z własnemi wyznaniami Kasprowicza, a nie znajdziemy potwierdzenia denuncjacji, nie znajdziemy ni żadnych aluzyj w sonetach „Z więzienia", ani w „Miłości", gdzie przecież Kasprowicz niejedno gorzkie słowo mówi o swej nieszczęsnej miłości. W „Dzienniku" (III—IV) Marji Kasprowiczowej znajdziemy na ten temat następujące szczegóły:

„Ożeniłem się z nią! Czy ja wiem, dlaczego! Była starsza ode mnie, ale była ładna, miałem wtedy 25 lat i romantyczne pojęcie o honorze, o obowiązkach w stosunku do kobiety z którą żyłem. Wydawało mi się, że muszę ją poślubić. Cała moja rodzina była przeciwna temu związkowi, co, jak zwykle w tych wypadkach, było dla mnie bodźcem, aby właśnie to uczynić. Pożycie nasze trwało niedługo, zaledwie parę miesięcy. Prędko odczułem dla niej wstręt (była to kobieta o małem wykształceniu i inteligencji). Porzuciłem ją... gwałtownie uwolniłem się od niej...

— Czy naprawdę umarła z rozpaczy?

— Tak zapiła się, zatruła się alkoholem...

— Ciekawa rzecz, rodzina moja, która nie chciała tego małżeństwa, później, kiedy ja zerwałem, namawiała mnie do zgody, starała się nas połączyć na nowo. Po jej śmierci widziano ją chodzącą po naszej wsi: siostry moje dotąd są pewne, że pojawiała się w naszym domu

— Bardzo tragicznie przeżyłeś jej śmierć?

— Z początku miałem uczucie ulgi, że jestem wyzwolony. Później przyszły inne chwile...

...Był to czarny punkt mego życia — to pierwsze moje małżeństwo — wstydzę się go dotąd."

Potem kilkakrotnie dodaje Kasprowicz o swojem wyznaniu w tej sprawie wobec Pani Marji: „Naprawdę, że mi to ulżyło... męczyło mnie nieraz, że ukrywałem przed tobą właśnie to zdarzenie mego życia... jestem naprawdę szczęśliwy, że ci to powiedziałem... (Dziennik III—IV. str. 30—32). Obawiał się bowiem poeta, że Pani Marja dowie się niepożądanych szczegółów na ten temat od jego rodziny, dlatego jej do Szymborza nie zabierał. — Jak już zaznaczałem, znajdujemy przejrzyste aluzje do tego nieszczęsnego małżeństwa w sonetach „Z więzienia", oraz w „Miłości" części I (L'amore disperato) i część II (Miłość — Grzech). Są tu znamienne echa żalu, za straconą młodością, z powodu goryczy, jakiej doznał w tej pierwszej miłości, akcenty

[6]) „Dziennik" III—IV. str. 234.

[7]) Jan Kasprowicz: Dzieła. Tom XXII. Noty bibljograficzne.

[8]) Zygmunt Wasilewski: Jan Kasprowicz. Zarys wizerunku. Warszawa Geb. i Wolff (str. cyt. 139).

[9]) Jan Kasprowicz: Dzieła. Tom VI („Miłość" — Amore disperato i Miłość — Grzech)

upokorzenia, jakie znosić musiał. — Małżonkowie nie byli dopasowani do siebie, to rzecz niewątpliwa. Zbyt duża była różnica w wykształceniu i poziomie intelektualnym, żona Kasprowicza zbyt była wymagająca, może i zazdrosna (przecież była starsza), może wyrzucała Kasprowiczowi, że wyszła za biedaka — punkt, na którym Kasprowicz zawsze był bardzo czuły. Rozumiał też Kasprowicz, że zmysły poniosły go za daleko, że zbyt pohopnie się związał węzłem małżeńskim — a po śmierci jej — nie mógł nie odczuwać pewnych wyrzutów sumienia, że przyczynił się do tak rychłego, tragicznego końca. Niema natomiast żadnych podstaw do twierdzenia, że wskutek denuncjacji swej byłej żony dostał się do więzienia. Podejrzenie byłoby o tyle uzasadnione, że zawiedziona kobieta do wszystkiego jest zdolna. Z drugiej strony — władze pruskie nie spuszczały Kasprowicza z oka. Znaną im była działalność K. na terenie gimnazjum Opolskiego i Raciborskiego, znana jego działalność wśród robotników, działalność patrjotyczna — społeczna. Rozkaz uwięzienia Kasprowicza nastąpił, gdy ten jako delegat młodzieży akadem. wyjechał na pogrzeb Kraszewskiego. Po powrocie sam oddał się w ręce władz i po dwumiesięcznem więzieniu śledczem jeszcze odsiedzieć musiał 6 miesięcy. Pobyt w więzieniu na szczęście niebył zbyt przykry. Niemieckiemi wierszami zjednał sobie Dyrektora więzienia i żywot miał tam znośny. Powstałe w tym okresie sonety „Z więzienia" stanowią ważny etap w procesie dojrzewania duszy i światopoglądu Poety. „Dojrzewało", jak mówi Wasilewski w swej pracy „w poecie serce, jako gotowość służby, czynu i ofiary".

Powracając do działalności narodowo - społecznej Kasprowicza na Śląsku — należy dokładniej zanalizować jego stosunek do spraw śląskich.

(Dokończenie nastąpi.)

BOŻENA STELMACHOWSKA O POMORZU

Nasze badania regjonalne nad etnografją ziem zachodnich Polski wzbogaciły się ostatnio o bardzo poważną pozycję przez pojawienie się pracy dr. *Bożeny Stelmachowskiej* p. n. „Rok Obrzędowy na Pomorzu". Autorka książki, rodem z Wrześni, jest córką znanego tam jeszcze doskonale przez starsze pokolenie wielkiego patrjoty i zdolnego inżyniera architekta ś. p. Ksawerego Stelmachowskiego, który za próbę wzięcia udziału w powstaniu r. 63 cierpiał kaźń więzienną w Moabicie — i ze służby rządowej wskutek tego usuniętym został. Synowie jego ś. p. Olech Stelmachowski, profesor inżynierji, współtwórca portu w Gdyni, ś. p. Metody zdobywca w czasie powstania wielkopolskiego powiatu rawickiego, jego pierwszy organizator i pierwszy starosta i prof. U. P. Bronisław Stelmachowski, który kładł podwaliny pod polskie sądownictwo i obecnie pracuje wydatnie w Trybunale Rozjemczym w Bytomiu, wszyscy zaszczyt przynieśli rodzinnemu miastu i ze słusznością wspomnieć ich należy w szeregu regjonalnych działaczy naszych Kresów Zachodnich. Najmłodsza z tej rodziny dr. Bożena Stelmachowska poświęciła się badaniom naukowym w dziedzinie prehistorji i etnografji wydając drukiem w r. 1925 „System Trzech Epok w prehistorji polskiej", w r. 1931 „O Słowianach północno-zachodnich" i w r. 1932 „Stosunek Kaszub do Polski". Obecnie Instytut Bałtycki w Toruniu wydał jej pracę „Rok Obrzędowy na Pomorzu", a Instytut Zachodnio-Słowiański zapowiada drugą pracę „Podkoziołek, oraz pokrewne obrzędy zapustne Polski zachodniej".

„Kolbergiem Pomorskim" nazwał dr. Aleksander Guttry książkę „Rok Obrzędowy na Pomorzu" wyznaczając tym trafnym terminem właściwą pozycję wspomnianej pracy. Zdarzyło się bowiem tak, że Oskar Kolberg w chwili, gdy zamierzał, po ukończeniu badań Poznańskiego skierować się z kolei na Pomorze, zmarł nie zdążywszy zrealizować swego zamiaru i stąd powstała luka w materjałach etnograficznych, która później nigdy w dostateczny sposób wypełnioną nie została. Zbierał wprawdzie Ceynova materjał folklorystyczny swoich stron rodzinnych, opisał prześlicznie rybaków ks. Gołębiewski, poważne studja przeprowadzał prof. Łęgowski, a kulturę materjalną Kaszub ratowali od zagłady małżonkowie Gulgowscy ze Wdzydz, ale i oni i Majkowski z Kościerzyny, i ks. Mańkowski i inni mogli tylko częściowo podołać zadaniu, a tymczasem napór germanizacyjny, niwelacja miejska, Wielka Wojna, przewroty ekonomiczne przyczyniały się coraz bardziej do stopniowej zatraty rodzimej kultury ludowej Pomorza, a propaganda niemiecka starała się wmówić i światu całemu i Polsce samej, że na Pomorzu niema już rodzimej polskiej kultury ludowej, że Pomorze jest niemieckie, z języka, ducha i zwyczajów.

Wobec takiego stanu rzeczy praca dr. Bożeny Stelmachowskiej ma charakter rewelacyjny zarówno dla nauki samej, jak i dla naszej propagandy na wewnątrz i zewnątrz kraju. Wartość jej leży w tem, że żaden fragment książki nie jest sztucznie naciągnięty do jakiejkolwiek tendencji, tylko udowodniony dokumentarnie i przedstawiony objektywnie. Złożyły się na to wysoki poziom naukowy, przejawiający się m. in. w nader sprawiedliwym i pozbawionym jakiegokolwiek szowinizmu osądzie prac etnograficznych niemieckich, dalej w logicznej i przejrzystej konstrukcji pracy, wreszcie w stylu jędrnym i prostym, wyzbytym wszelkiego werbalizmu. Ze słusznością więc prof. U. W. Poniatowski na wstępie swoim do tej książki podnosi te właśnie jej walory.

Dla wszystkich, interesujących się badaniami regjonalnemi pouczające będzie zapoznanie się z metodą pracy etnograficznej dr. Stelmachowskiej. Otóż „Rok Obrzędowy na Pomorzu" to zbiór wszystkich obrzędów i zwyczajów praktykowanych przez lud pomorski z okazji świąt dorocznych. Materjał ten został zebrany metodą ankietową i to za pośrednictwem miejscowego duchowieństwa, nauczycielstwa, starostw, urzędów, wojska, policji itp. itp. Przygotowany precyzyjnie przez autorkę kwestjonarjusz rozesłano za pośrednictwem wspomnianych władz do różnych osób i otrzymano około 500 odpowiedzi z całego Województwa Pomorskiego. Surowy ten materjał został następnie opracowany przez Dr. Stelmachowską w sposób naukowy i zebrany w całość z uwzględnieniem podziału geograficznego. Sumiennie i bezstronnie przedstawiono więc stan faktyczny ludowej kultury Pomorza, a część pierwsza i trzecia pracy zawierająca literaturę przedmiotu i analogje ogólno-polskie daje możność samemu czytelnikowi wyciągnięcia logicznego wniosku, że ów „rok obrzędowy na Pomorzu" jest w ogólnym zrębie swoim taki sam jak w całej Polsce, mimo, że posiada własne swoje ciekawe, regjonalne odrębności. Na różnice te autorka nie waha się zwrócić uwagi i podkreślić ich oryginalność i urok swoisty.

Książka dr. Bożeny Stelmachowskiej będzie najprawdopodobniej stanowiła, podobnie, jak ongiś badania Kolberga punkt wyjścia i odskocznię dla licznych dalszych prac różnych naukowców i literatów przez to właśnie, że zwraca uwagę na ogromne bogactwo kulturalne naszych Kresów Zachodnich, dotąd zamało w całej Polsce znanych. *I. P.*

TADEUSZ PIETRYKOWSKI:

POZNAŃSKA PAMIĄTKA POETYCKA

200 ROCZNICY ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ

W r. 1883 ukazało się w Poznaniu nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebińskiego) dziełko poetyckie pt. „Sen Turkawki ongi woźnicy króla Jana III z nocy po odsieczy wiedeńskiej, w 2 setną rocznicę oswobodzenia Wiednia przez Polaków opowiadał *Wł. Saława*".

Pseudonimem Wł. Saława posługiwał się Władysław Łebiński, syn ziemi pomorskiej (ur. 1840 w powiecie świeckim), były redaktor „Gazety Toruńskiej", a od r. 1871 właściciel drukarni w Poznaniu, założonej swego czasu przez J. I. Kraszewskiego. Pod pseudonimem: Wł. Saława wydał Łebiński kilka dzieł drobniejszych.[1])

Poemat: „Sen Turkawki" napisany dość dobrym wierszem, doczekał się nawet czterech wydań i dziś ze względu na 250 rocznicę odsieczy wiedeńskiej zasługuje na przypomnienie. Bohaterem poematu jest pan Szymon Turkawka z Królewskiej Promnicy na Pomorzu, właściciel dworku i trzech włók roli, nadanych mu przez Króla Jana III. za czyny bohaterskie w potrzebie wiedeńskiej. Mile wspomina sobie stary pan Turkawka króla Jana i wspólne z nim wojowanie:

Dawne, dawne to są czasy
Gdym chodził na Turka; —
Tam w komorze wisi jeszcze
Postrzelona burka.

Temi słowy zazwyczaj rozpoczynał pan Turkawka opowieść o dawnych swych bojach pełnych sławy, o zwycięstwach króla Jana Sobieskiego, którego uwielbiał:

„Wszak widziałem go pod Wiedniem,
— — — — — — — — — —
Nasz Jan III. był jak słońce
W zorzy morzu złotem, . . .
— — — — — — — — — —
Daj nam Boże wielu jeszcze
Takich królów Janów.

I opowiadał pan Turkawka o wyprawach przeciw Turkom, o Chocimie i Wiedniu. A gdy mówił o odsieczy wiedeńskiej, czynił to uroczyście i z namaszczeniem:

W imię ojca, w imię syna
I świętego ducha,
Niechaj każdy z wiarą Boga
Mej powieści słucha.
Z całej Polski od Pomorza
Po Karpackie góry
Rżają konie, błyszczą bronie
I lamparcie skóry
Szumią znaki i chorągwie
I husarskie skrzydła...
— — — — — — — — — —
Jedzie całe wojsko polskie
Jako chmura chyża
Ledwo z dziesięć dni minęło.
nad Dunaj się zbliża.

Szli Polacy pod Wiedeń, by ratować Niemcy, by bronić chrześcijaństwa:

Bo trza wiedzieć, że Niemczyska
Ze strachu przed Turkiem,
Gdzieś na Kępie się schowali
Niby w wodę nurkiem.

Polacy zaś byli ufni w króla i pomoc Boską:

Nas wiódł król i anioł Boży,
Wszystko szło jak z płatka,
A skorośmy już dopadli
Kędy droga gładka:
Król nasz stanął jako siewca,
Co siew rzuca w rolę,
I chorągiew za chorągwią
Miecie Turkom w pole.
— — — — — — — — — —
Oręż polski dobrze orze
I żniwi w potrzebie.

Nasz Turkawka wsławił się w batalji wiedeńskiej nielada, gdyż zdobył własnoręcznie Zielony Sztandar Proroka, za co pochwalił go król i szlachcicem zrobił.

Choć Niemcy dziękowali królowi Sobieskiemu za ratunek:

„Sam widziałem na me oczy
Jak się nam kłaniali,
Zbawcą Niemiec, Chrześcijaństwa
Króla nazywali —

to jednak Turkawka nie wierzył w ich szczerość:

A jaż sobie pomyślałem:
Bierz was wszystkich kaci,
Mnie się zdaje, że ten naród
Źle nam to odpłaci!

Myśl ta nie dawała mu spokoju. Nawet we śnie go prześladowała. Ukazał mu się podczas snu stary pustelnik, który przepowiedział:

„Bo nastaną takie czasy,
Że ten świat plugawy,
Odrzeć zechce was z tych skarbów
Z polskich dziejów sławy!
„Za lat dwieście już tak wielka
Będzie złości siła,
Że wam zaprze tę krew waszą
Co Wiedeń zbroczyła...

I ten sen Turkawki — to najważniejsza rzecz w poemacie. Przez przytoczenie tego snu chciał autor przypomnieć rodakom, co Niemcy Polsce zawdzięczają, chciał wytknąć zaborcom ich niewdzięczność wobec dawn. wybawicieli z opresji, ich przewrotność. I to autorowi się udało.

Poemacik Saławy, aczkolwiek pod względem poetyckim nie może być zaliczany między arcydzieła literatury polskiej, to jednak w czasach niewoli (1883) spejnił zadanie, jakie mu wyznaczył autor. Przypomniał z okazji 200 rocznicy odsieczy wiedeńskiej dawną glorję oręża polskiego, wzmocnił dumę i poczucie narodowe, dodał rodakom otuchy do wytrwania, napełnił serca nadzieją, że znów przyjdzie czas, gdzie istnieć będzie wojsko polskie, gdzie znów będziemy panami swego losu.

Nastała dziś 250 rocznica odsieczy wiedeńskiej. Jakżesz inaczej wygląda dzisiejsza mapa Europy w porównaniu do mapy z tego roku, w którym obchodzono 200lecie wiktorji wiedeńskiej! A że imię Polski znów widnieje na tej mapie, jest to także zasługą takich Saławów, którzy przez swe książeczki, trafiające nawet pod strzechy ludu naszego, podtrzymywali ducha w narodzie, nie pozwalając mu porzucić nadziei w lepszą przyszłość.

[1]) Według Estreichera:
Amerykanie, sielanka dramat., Poznań 1885.
Bitwa pod Grunwaldem wedle Długosza, Szajnochy i i. Poznań 1886.
Zabawne historje, jak Grzelę w Ameryce wykazało i jaki był jego koniec smutny,... 1883.
Dwie igraszki wiejskie dla ochronek, Poznań 1883.
Piekło zwyciężone, legenda elegoryczna, Poznań 1890.
Pożar, sielanka, tamże 1883.
Sen Turkawki, tamże 1883 i inne.

Wojciech Bąk:

ŚWIĘTY

Dom twój prosty, malowany,
Nieświerkowy, nielipowy —
Litanijne grają ściany,
W oknach śpiew rozdygotany,
Śpiew psalmowy!

Dom twój prosty — z światła zbity —
Nie z żelaza, nie z betonu.
Krzyż podpiera go sufitem,
Krzyż w grunt pewnym zrębem [wbity,
W grunt wmodlony.

Nad oknami nie kwiatami
Rośnie bujnie — i nie bluszczem.
Nad oknami modlitwami,
Zielonemi gałęziami —
Wiosną pluszcze.

Nie polami wiatr zawiera,
Polem mając domu ściany —
Wiatr zawiera wonią nieba,
Cztery ściany niebem zlewa —
Wiatr harfiany!

Nie opada nocna rosa
Na pochyłą domu strzechę —
Srebrem roszą ją niebiosa
I aniołów ciżba bosa
Darzy śmiechem.

Nie pilnują twojej chaty
Psy drapieżne, psy wyjące —
Dla obrony starczą kwiaty,
W nocy księżyc dwurogaty,
We dnie słońce.

A ty stoisz zapatrzony
Z naprężoną ciszą w sercu
I powtarzasz antyfony
Z gorzkiem życiem pogodzony
I ze śmiercią!

Mądrym czynem czas swój znaczysz
Wśród wichury w słocie gniewnej —
W wieku płaczu i rozpaczy
Wśród rozbitków i tułaczy
Idziesz pewny!

Z PLASTYKI

Zabytki ziem Zachodniej Polski w Tece Graficznej

Z okazji Zjazdu Lekarzy Przyrodników w Poznaniu ukaże się, staraniem Komitetu Zjazdu niezwykle szczęśliwie pomyślana teka graficzna. Ujmie ona na dziewięciu planszach zabytki Ziem Zachodnich, odtworzone wielobarwnie, przez naszych najznakomitszych grafików. I tak: Poznań (Ratusz) rysuje *Leon Wyczółkowski*, Poznań (Pałac Działyńskich) — *Lam*, Gniezno — *Ossecki*, Rydzynę — *Bogaczyk*, Bydgoszcz — *Bogucki*, Toruń — *Szmaj*, Grudziądz — *Taranczewski*, Gdynię — *Szpinger*, Śląsk — *Wroniecki*.

Nad całością teki czuwa prof Jan Wroniecki i on także opatruje tekę w oryginalną okładkę.

Z radością i uznaniem sygnalizujemy tę kulturalną inicjatywę Komitetu Zjazdu Lekarzy Przyrodników. O wartościach estetycznych teki pomówimy obszernie osobno.

M. T.



FR. GAJEWSKI „WENECJA BYDGOSKA"

W następnym zeszycie:

Stanisława Helsztyńskiego

Trzy Stolice Pałuk

Jana Piechockiego

W majowej pszenicy po kolana

Bron. Szczebrzyca

Twórczość literacka ks. N. Cieszyńskiego.

EDWARD PRĄDZYŃSKI:

LEGENDY I PODANIA WIELKOPOLSKIE

W każdym regjonie usłyszeć można przeróżne podania i legendy. Niezliczoną ich ilość posiada również regjon wielkopolski. A chociaż, jak wszystkie niemal legendy są i nasze mocno fantastyczne, często osnute na tle starej, spóchniałej wierzby, jagiegoś pagórka, dzwonnicy kościelnej, cmentarzyska, młyna, to jednak te nasze, wielkopolskie podania i legendy są dla nas przedewszystkiem drogie i przemiłe. A to z tego głównie powodu, że kojarzą się przecież z przedmiotami i przyrodą naszego regjonu i najczęściej są naszą tylko własnością. Bo legenda ma to do siebie, że krąży najbliżej swego środowiska, wiadoma wszystkim tamtejszym mieszkańcom, a gdy znajdzie się ktoś, kto potrafi nią zainteresować młodzież, wówczas legenda idzie razem z nią w świat i tradycyjnie przechodzi z ust do ust.

Zwrócili na nasze podania i legendy uwagę Niemcy w okresie naszej niewoli, bawiła ich fantazja i polot naszego ludu. Nauczyciele i profesorowie gimnazjalni, zbierali i układali w języku niemieckim legendy i opowiadania naszej krainy i wydawali je drukiem np. Beer Paul „Sagen und Geschichtsbilder aus dem Posener Lande", Sau Marte (Schulz) „Gross Polens Nationalsagen, Mährchen und Legenden". Pozatem Prof. Otto Knopp, Bugiel, Rudolf Kussmann, Konrad Herrmann, Krausbauer, to wszystko nazwiska ludzi, których zagadnienia etnograficzne Wielkopolski bardzo interesowały.

W Poznaniu zaś działa na polu etnograficznem Tow. Przyjaciół Nauk, niegdyś pod światłem przewodn. Libelta, a prace na tematy dotyczące regjonu wielkopolskiego umieszczały pisma: Przyjaciel ludu, wychodzący w Lesznie i Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk. Dzisiaj szczytne to zadanie wypełniają również i „Wici Wielkopolskie".

Prace zaś Fedorowskiego, Kozłowskiego, Nadmorskiego, Rogera, Świętka pomnażały zasoby naszej wiedzy o Wielkopolsce. Dużą także wartość przedstawia poważne dzieło Oskara Kolberga, prof. Uniw. Jagiell, wydane w r. 1876 pt. Lud. — Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia itd." Obszerne to dzieło zawiera dużo także legend i podań z różnych regjonów Wielkopolski i rzuca ciekawe światło na zwyczaje, obrzędy, stroje i usposobienie Wielkopolanina. Przedewszystkiem zaś, co nas narazie najwięcej interesuje podaje prof. Kolberg, w zarysie nieraz, podania i legendy z Kościana, Leszna, Rawicza, Pleszewa, Śmigla Odolanowa i innych miast. Prof.

Kolberg pisze w swem dziele: „położyliśmy nacisk na podania i legendy tych okolic (Wielkopolski), spisując je wiernie tak, jak przez nas samych na miejscu posłyszane były, lub w różnych wyczytane pismach, przekonani, że przy dalszych poszukiwaniach nierównie większa wykryje się ich liczba, przypuszczamy bowiem, że na brak tych twórczej fantazji ludu płodów w starożytnej Piastów i Przemysławów dzielnicy uskarżać się nie będzie powodu". I nie myli się prof. Kolberg, że we Wielkopolsce nie brak płodów wynikłych z twórczej fantazji ludu, bo lud nasz umie nietylko z czarnej ziemi wykuwać ręką złote kłosy zboża, ale w chwilach wolnych pracuje myślą i snuje fantastyczne opowiadania. A wyobraźnię ma nasz lud wielkopolski naprawdę bujną, czego dowodzą liczne częściowo spisane tak, jak wyszły z ust ludu, legendy. Mnóstwo jest jeszcze legend niespisanych, a szkoda, bo czy prędzej, czy później mogą pójść w niepamięć. A jak legendy giną mam przykłady z rodzinnego regjonu, gdzie naprawdę ciekawe legendy są dzisiaj już chyba wiadome tylko staruszkom; mało w każdym razie ludzi z młodszego pokolenia powtarza te legendy. Zresztą sędziwy ks. radca Michał Perliński w swoich „Wspomnieniach o mieście Ostrzeszowie", gdzie przytoczył także posłyszane w tym regjonie opowiadania zaświadcza, że słyszał to, co spisał z ust starców. I dobrze, że umieścił coprawda szkicowo napisane te opowiadania w swoich wspomnieniach, bo przynajmniej nie pozwolił im zaginąć. Niemniej dobrze uczynił p. red. Turwid, drukując w oficynie p. Andrzeja Prądzyńskiego legendy z regjonu wrzesińskiego. Legendy, które są osnute na tle wzgórza w okolicy Wrześni, na którem otoczony drzewami drewniany kościółek Św. Krzyża a opodal studnia niedyś skromna, dzisiaj artystycznie ozdobiona rzeźbami mistrza Jakuba Juszczyka noszą tytuł „Klasztor na Lipówce".

Swego czasu przed mikrofonem radja poznańskiego odczytałem także kilka legend mniej znanych z powiatu jarocińskiego, kępińskiego, z okolic Ostrzeszowa i Mikstata. Starałem się wówczas położyć nacisk na bogatą fantazję ludu wielkopolskiego, dowodząc, że lud nasz umie z głazu wyczarować księcia i dzianeta a z gruszą połączy legendę o czynie bratobójczym. A teraz pragnąłbym na łamach „Wici Wielkopolskich" zaapelować do czytelników, aby zechcieli się przyczynić do utrwalenia podań i legend wielkopolskich. Uzupełnijmy bibljotekę „Wici" zbiorkiem tych podań i legend, zbiorkiem, który będzie wynikiem pracy ogółu czytelników. A może zbiorek ten urośnie w gruby tom, czego możnaby się spodziewać wiedząc jak rozwiniętą wyobraźnię ma nasz lud wielkopolski. Potrzeba tu jednak współpracy, a zatem projekt mój jest taki, by czytelnicy spisali legendy ze swojego regjonu, przypuśćmy, Ostrowa, Środy itd. i przesyłali je pod adresem: „Wici Wielkopolskie" Września, Poznańska ul. 6. A mam to przekonanie, że w zrozumieniu celu, mianowicie utrwalenia tych żywych pomników twórczej fantazji ludu wielkopolskiego, czytelnicy przyczynią się do rozszerzenia bibljoteki „Wici Wielkopolskich" wartościowym tomikiem.

MARJAN TURWID:

POŻAR

To tutaj. Na poczciwie pochylonej, starej, drewnianej bramie odnalazł małą, blaszaną tabliczkę. Tabliczka jest mocno otłuczona i wyblakła, przecież pan sekretarz magistratu zdołał bez większego trudu, z fragmentów czerwonych liter, zestawić groźny napis: „Zawezwanie Straży Pożarnej!". Zadowolony, kopnął bramę z całych sił. Jęknęła żałośnie i rozwarła się, jak zdziwiona gęba. W ciemną gardziel długiej, niskiej sieni wprowadził pan sekretarz swój rower i z pospiechem wbiegł na małe podwórko. Nikt tego nie zauważył. Podwórko drzemie zmęczone w skwarze lipcowego popołudnia. Pan sekretarz nie uszanował zasłużonego snu leciwych murów. Zadarł głowę i krzyczy na całe gardło:

— „Panie Kosmala! Hej! Panie Kosmala!

Aż drgnęło niejedno okno od tego niespodziewanego wrzasku. Aż uniosła się z zaciekawieniem niejedna powieka ociężałej z gorąca żaluzji.

— „Panie Kosmala! — Kosm-a-la!"

Wyskoczyło z futryny pchnięte skrzydło okna, trzasnęło w ścianę zirytowane, by zachybotać się gniewnie na jedynym zardzewiałym zawiasie. W rozworze okna ukazała się chuda twarz koloru brudnej, spłowiałej cegły, obwieszona czarnemi, potarganemi kudłami.

— „A czegu sie pon tak drze...?"

Widać, pan sekretarz bardzo się spieszył, bo wcale nie zauważył, obrażającej jego godność, niegrzecznej formy zapytania.

— „Gdzie mąż? Pożar wybuchł w mieście. Trzeba na gwałt zaalarmować straż ogniową!"

— „Poli sie, — a gdzie?"

— „Telefonowali na ratusz, że w starym szpitalu ogień..."

— "Podpoluł kto, czy co?"

— „Nie wiadomo. I na gadanie czasu nie mam. Gdzie mąż?"

— „A bo jo ta wiym?"

— „W warsztacie go niema?"

— „Czy to usiedzi we warsztacie tyn ochlapus. Cingiym ino pije..."

— „Psiakrew! A tu taki gwałt. Gdzie mąż może być?"

— „Niech pon zajrzy do knajpy. Wej tu, u somsiada. Pewnie już tam pod stołym leży..."

Tak! Pan Kosmala w knajpie siedzi, ale jeszcze pod stołem nie leży. „Kumple" jakoś nie przyszły i nie miał mu kto postawić. A gorzeje w nim dziś bardziej, niż kiedy. A tu o „krydzie" ani mowy niema. Panna Fela już od samego rana czegoś wściekła. Za bufetem stoi, szkło myje i tak dogaduje bez przerwy:

...„Siedź pan tak, siedź. Portki z pana zlatują, dziurami pan świeci, ale do knajpy to już od samego rana. A do roboty niełaska? Nic, tylko cały dzień kieliszka pilnuje. Nie potrzebujemy takiego stróża. Wszystkich porządnych gości pan nam swojemi łachmanami wystraszy z lokalu. W chałupie bieda aż piszczy, dzieciaki z głodu zdychają i kraść muszą, a ojciec nic, tylko chleje a chleje. Ładny ojciec, niema co... czysty wstyd!..."

Ani jednem słowem nie odpiera pan Kosmala, padających nań, gradem z za barykady bufetu, ciężkich zarzutów. Pokorny i niemy tkwi w swoim kącie pod ścianą złamany cały w sobie i bezsilny. Ręce wepchnął głęboko w czeluście kieszeni i paluchami grzebie w nich i grzebie nadaremnie. Wie dobrze, nie znajdzie w głębi zdartych kieszeni nic prócz starych, krzywych gwoździ. I nie o tem myśli. Obchodzi go tylko odpowiedź na jedno, jedyne pytanie: Czy bufetowa wypyskowawszy się do syta postawi mu choć jedną czystą na krydę czy też nie. Odpowiedź pada wnet twarda i niecofniona. Najgorszy wyrok: „Choćby pan podpierał swój kąt aż do sądnego dnia, to i tak nie dam panu na pump ani jednej kropelki!..."

A tu gorzeje w nim i pali w gardle już od samego rana. Pali czy drapie dokuczliwie i bez przerwy. A za bufetem stoją na półkach całe szeregi butelek. Stoją i szydzą z jego pragnienia odpychającem, chłodnem lśnieniem szkła. Daremnie mętnem, spłowiałem błękitem spojrzenia obejmuje miłośnie ich smukły kształt. Stoją chłodne, bliskie i niedostępne. Więc znużony próżnem błaganiem, chowa źrenice po za sfałdowane

zasłony powiek. I jeszcze głębiej wtłacza się w swój kąt i cały wtapia się w mrok, tak, że tylko łysa nieomal czaszka wyrywa się z trudem z objęć cienia.

I czeka tak. Czeka cierpliwie i prawie bez ruchu kwadranse całe i godzinyna kogoś, kto się przecież zjawi, by go do kompanji zaprosić i choćby jedną najmniejszą zafundować.

Przyszli. Przyszli na „jednego" pan Walenty Kujawa i pan Andruch Szalbierz. Przypijają do siebie mistrz stolarskido cechmistrza kowalskiego a jego Kosmali, jakby wale nie zauważyli. Wiadomo, opilec jest i choć dawniej majstrem także był i to majstrem w blacharstwie dobrze obeznanym, dziś się już do dostojnej kompanji rzemieślniczej nie nadaje. Próżno ze swego kąta krząka i pomrukuje. Próżno co czas pewien, do rozmowy majstrów usłużne słówko wtrąci. Wszystko na nic. Więc z mroku swego wypełznie i do stołu przysiądzie. Skromnie, na uboczu i w odpowiedniej odległości.

Odwróci się cechmistrz ciężko w krześle i na nieproszonego gościa z góry a zimno popatrzy. A mistrz Kujawa wyrżnie pięścią w stół i krzyknie:

— „Panna!" —

Aż zadrżał pan Kosmala.

— „Niech no nam tu panna jeszcze sypnie!"

— „Duże?"

— „Duże!"

— „Ile?", pyta panna Fela przynosząc butelkę.

— „Trzy..." — słyszy pan Kosmala łudzony nadzieją.

— „Dwa!" twardo zadecyduje pan cechmistrz.

— „I dwa piwa, — jasne" dorzuca mistrz Walenty.

A pan Kosmala patrzy. Widzi, jak lśniący, wąziutki strumyk czystej spływa do kieliszków, by je aż po brzegi wypełnić kryształowym płynem... Widzi jasno-złoty słup rosnący w wysokiej szklance i przelewający się smakowicie szumiącą, chłodną pianą po przez brzegi szkła.

Patrzy, i widzi twarde, brunatne paluchy cechmistrza wyciągające się łapczywie po smukłą, cieńką nóżkę pełnego kieliszka. I czuje, że jest niesprawiedliwie, źle i pod psem, że mu łapy nagle wilgotnieją, i że w gardle nic śliny złapać nie może, a w krtani jest tak sucho, tak sucho, że pali...

— „Pali się!" wrzaśnie ktoś nagle. To pan sekretarz, stanął w gwałtownie rozwartych drzwiach. „Kosmala jest?" — rzuci pytanie w półmrok. Obudzi się knajpa, obudzi się pan Kosmala. Panna Fela, aż z za bufetu wypadła:

— „Gdzie? co?"

Ale Kosmala nie wierzy. Pożaru już chyba nie było ze sto lat.

— „Prędzej Kosmala! Lećcie piorunem po trąbę. Trzeba na gwałt zaalarmować straż ochotniczą!" —

Dźwignie się Kosmala z za stołu jakiś inni, jakiś żwawszy.

— „Spieszcie się!" — pogania go sekretarz. „Prędzej, prędzej, bo cała rudera się spali zanim sikwa nadjedzie.

— „Dobrze, dobrze, zrobi się", — zapewnia Kosmala z godnością, w przypływie głębokiego zadowolenia z odzyskiwanej niespodziewanie ważności.

Już nie lezie, nie człapie ciężko ku drzwiom. Nie stara się, przemykać niepostrzeżenie. Wychodzi z knajpy pewnym krokim, a za nim pan sekretarz.

Teraz pan sekretarz majstruje coś przy swoim rowerze, a Kosmala przepadł w sionce prowadzącej do mieszkania.

Ale jeszcze się pan sekretarz z defektem roweru nie, uporał kiedy Kosmala zjawił się znowu.

Zdziwi się pan sekretarz:

Co za zmiana?!

Czysta, niebieska plama munduru. Nad nią głowa mocno ujęta w ramy skórzanego hełmu. Z pod surowej krechy daszka oczy czernią się twardo. Siwiejące, sumiaste wąsy nie zwisają bezradnie i bezładnie...

„Wygląda jak jaki husarz z pod Wiednia" — myśli pan sekretarz, a groźno rzuci:

„No jazda!"

„Zaroz" — niepokoi się pan Kosmala.

„Czego?"

„Tromba... Psiakrew, zostawiułym w domu trombe."

„No to skoczcie po nią, a prędko!"

Pan Kosmala woli zawołać niż skoczyć. Woła:

„Stasia! Stasia!"

Ukazuje się w oknie potargana głowa.

„A co?"

„Rzuć ino trombe."

„A gdzie jest?"

„Przecie w kuchni wisi."

Głowa znika na dłuższą chwilę.

„Nima tromby."

„Co do cholery nima! Musi być!"

„To zobocz som, kiedyś taki mondry."

„Ino poszukej Stasia jeszczy roz; a jak szukosz, to nie proś Pana Boga, żebyś nie znojdła..."

„Prędko, prędko" — denerwuje się pan sekretarz.

Ponownie znikają z okna potargane kudły.

Ale tylko na moment.

Stasia krzyczy tryumfalnie:

„Ady już wiym, gdzie się to trombisko podziało...!"

„No!" — — oddycha z ulgą pan sekretarz.

„To jom rzuć!" — dysponuje niecierpliwie pan Kosmala.

„Jak mom rzucić, kiedy Bronek trombe wzion.

„Co?!!" ryknie pan Kosmala.

„Ano wzion!" potwierdza kudłata głowa fatalny fakt, kiwnąwszy się kilkakrotnie.

„Poco tyn śmierdziel te trombe broł?"

„Na placu kozy pasie, to se trombe wzion, bo mu sie nudzi" — próbuje syna wytłumaczyć matka.

„Dom jo głupiymu srolowi „nudzi" wścieka się ojciec. Tak dostanie po trombie,że musie odechce na drugi roz urzyndowom trombe do kozów brać.

TEODOR TAŁUNA:

POPROWADZĘ CIĘ POLEM

Poprowadzę cię polem, gorejącem żytem . . .
modraków giętkim śladem, ziarn złoconych szczytem — —
gdzie w chorągwianym dreszczu, stopy głaszczą zboża . . .
gdzie włosy twe utoną w złotym nurcie morza
rozpłomienionych kłosów. — —
Sypkich ziaren gamą
pod twoje spłynę nogi
miękką słońcą plamą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pójdziemy razem boso pod słońc baldachimem
szeptem liczyć różaniec ziarn, owianych dymem
kadzidlanych oddechów. —
Spleceni powojem
pól, czytać będziem brewjarz pocałunków znojem.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pójdziemy zbóż procesją, skwarną lata bramą,
przedwieczornych pożarów rubinową lamą — —
Przez nocy gwiezdną przepaść, pod wzgórze zarania
złączeni zorzą w oczach, w godzinie świtania.

STANISŁAW CZERNIK:

POSZUKIWANIA

POSZUKIWANIA:
W ZDEPTANYM PIASKU ECHA KOŁYSKI I SZUMY BORÓW.

DOBRZE I SMUTNO WSPOMINAĆ NA KAŻDYM KROKU
DZIECIŃSTWO WEDŁUG SŁONECZNIKA WZORU:
SŁONECZNIK SIĘ Z ŻYTA WYŁANIA
I PATRZY KU OBSZAROM BURAKÓW.
A OD ZIELONEJ NACI EGZOTYCZNEJ MARCHWI
I OD KRZAKA PORZECZEK CZERWIENIĄ SIĘ BARWI
LINJA PROSTA:
W STEPY I LAS,
PRZEZ WIEŚ,
PRZEZ DREWNIANY MOSTEK,
KU WĄWOZOM I DOŁOM:

TAM PIERWSZE MOJE ECHO ZJAWIŁO SIĘ WCZAS.

„Ino zaro nie wyjyżdżej z pyskiym. Som mu pokazywołeś jak sie trombi."

„Cicho bundź Stasia, ci mówie. Spiere srola, że aż mu łzy po plecach poletom!"

„No i co, no i co" — traci głowę pan sekretarz.

Pan Kosmala głowy nie traci. Powiada do sekretarza: pon siednie na koło i machnie sie pon na plac i trombe przywiezie..."

„Słusznie", myśli sekretarz, „a wy?"

„Jo tu byde czekoł".

Wsiadł sekretarz na rower, zaklął i pojechał.

A pan Kosmala czeka.

Czeka i czeka.

Aż mu się znudziło.

„W chłodzie se poczekom" — postanowił i poszedł do knajpy. Wszedł pewnym krokiem, krzesłem głośno szurnął i rozsiadł się szeroko za stołem.

„Pali się jeszcze? — pali? — dopytuje się ciekawa panna Fela.

„A pali", odburknął pan Kosmala.

„Nie trombicie?" dziwi się mistrz Walenty.

„Jak sekrytorz mi trombe przywiezie, to byde trombiuł."

„Do tegu czasu, to sie cało gora spoli."

„Ino sie nie bójcie. — Jak jo zatrombie, to sie pieronem alarm zrobi."

„Niech nom tu panna znowy jednygu sypnie", — komenderuje po niewiadomy już raz pan cechmistrz.

„Ile?" pyta panna Fela.

„Trzy!!" huknie bezapelacyjnie pan Kosmala.

Aż się na niego obejrzy zdziwiona bufetowa. Ale widzi: porządny, niebieski mundur i liljowe naszywki i groźny skórzany pas...

Posłusznie rozlewa wódkę w trzy duże kieliszki.

„Z kropką!" — uzupełnia swe zlecenie pan Kosmala.

I widzi ucieszony, jak kropla likieru całą zawartość kieliszka zabarwia zwolna na chłodny, blado-zielony ton.

I widzi, wyraźnie na zielonym brzuszku kieliszka maluje się ostro, w całkiem malutkiem odbiciu, jasne okno knajpy.

Patrzy w to malutkie okienko i cieszy się. I cieszy się z tej wielkiej suchości w gardle „Zaleje ją, zaraz ją zaleje" — myśli z satysfakcją.

Cechmistrz już wykonał tuż nad kieliszkami nieokreślony ruch żylastą dłonią. Jakby przeżegnał, jakby błogosławił... Nie. On tylko dał znak na przewłaszczenie kolejki.

Pan Kosmala jednak jeszcze za kieliszek nie chwyta.

Zrozumiał cechmistrz.

„Aby nam się!" — powiada i kieliszki trąca.

„Na zdar!" odpowiada Kosmala.

Podnieśli szkło do ust. Kosmala wolną lewą dłoń podsunął rozłożoną płasko jak tacę tuż pod rękę z kieliszkiem. Przymrużył oczy aby nadać większą ostrość źrenicom i skierowawszy kieliszek tak, by spojrzeć nań pod światło, przez chwilę jeszcze rozkoszował się drzeniem powierzchni płynu.

Wypił ostatni. Potem niedopitą kroplę szerokim ruchem strzepnął na podłogę.

„Zdałoby się jeszcze", rzekł, ocierając wierzchem dłoni wąsy i wargi.

„Można" — zgodzili się majstry.

„Panna Fela, jeszcze kolejke!"

I znowu panna Fela nie umiała się zdobyć na protest. Porządny mundur i te liljowe naszywki widać zupełnie zmieniły jej stosunek do pana Kosmali.

Nalewała i nalewała. Jednego i jeszcze raz jednego. Pan Kosmala już dawno odczuł, jak mu puste kiszki wypełniać poczyna przyjemne, dobroczynne ciepło. Od tego ciepła aż ducha nabrał. Język mu się rozplątał i uczyniło się raźniej.

A kompany już nie patrzą na niego tak chłodno jak przedtem. „No bo i czymu, — do cholery — czy gorszy jest czy co? Takim majster jak i oni", zapewnia samego siebie pan Kosmala. A żona tyż sroce z pod łogona nie wypadła. Majstrowa córka jest, no nie?

„Andruch", — zwraca się do cechmistrza.

„Te, komu ty?" oburza się na tę poufałość mistrz Walenty.

„A bo co, hrabiom jest, czy jak?" oburza się Kosmala.

„Do cechmistrza mówisz", — objaśnia Walenty.

„Ino sie Walek nie staluj, nie. Wielko mi rzecz cechmistrz. Jak w Berlinie bułym na robocie, to bułym tyż prezesym. Łe, co tam prezes. Referatym bułym tyż, żebyś wiedzioł. I kwestje robiułem, na ulicach, jak naszych do Moabitu zamknyli."

„Referatym bułeś, powiadosz. Wej, wej..." dziwi się cechmistrz.

„Może nie? Spytejcie sie kogu chcecie. W robotnikach polskich referatym bułym i prezesym."

„Tylko mu tak wierz", — powątpiewa złośliwie mistrz Walenty — „co on tu nom nabajtluje."

„Jak mówie, że referatym bułym, to bułym i ani mucha nie usiondzie."

„Nie bułeś!" — upiera się mistrz Walenty.

Kosmala aż poczerwieniał.

„Te Walek, zamknij pysk!"

„Som zamknij, głupi smolorzu."

„Nima tu co twardygu?" — rozgląda się pan Kosmala, „żebym mógł te skrobideche go główce pomacać".

„Żebym jo ci nie pomacoł!"

„Ady tak nie krzyczcie..." — mityguje zwaśnionych cechmistrz.

„Proszę burdy nie robić" — wtrąca piskliwie panna Fela.

Ale mistrz Walenty, nie chce tak łatwo ustąpić.

„Zamiast na łogin trombić, to cholera wódke trombi."

„Co?!" — poderwie się Kosmala.

„Dosyć!!", i padnie ciężko kowalska pięść na stół. „Głupotów nie lubie. Ty Walek, zwraca się do mistrza stolarskiego, — tyż chyntnie bydziesz trombiuł jak kolejke postawie, nie?"

Bez gadania wypełnia panna Fela kieliszki. Wie, że to najlepszy środek na zgodę. A awantura, to przykra rzecz. Zaraz policja, protokóły i jeszcze koncesję odbiorą.

Cechmistrz nie poprzestaje na kolejce. Trzy papierosy dać kazał.

„Zapolma se" zaprasza.

Zapalili papierosy niby fajki pokoju.

Przestali się kłócić.

Sapią jeszcze tylko i czasem głośno spluną.

Aż panna Fela zauważy półgłosem:

„Nie wolno na podłogę spluwać."

„A co? — może mom na sufit pluć, nie?" — burknie mistrz Walenty.

„Przecież mosz spluwaczke" poucza go nieproszony pan Kosmala.

Cechmistrz wtrąca się coprędzej. Zapobiegliwie zmienia niebezpieczny temat rozmowy:

„A jak to tam było z tym łogniym u Tabaki?"

„Jakiym łogniym?"

„A w Psarach, w zeszłym roku, przede żniwy."

„A tam", przypomina sobie pan Kosmala, „tam to goronc był, istne piekło..."

„Uratowało sie co?"

„Łe gdzietam. Jak my z sikwom przyjjachali, to już z chałupom było szlus. Już łobore zajmowało. Gora była jak cholera. A tu w sikwie my mało wody mieli, a do stawu kawoł drogi. Więc my łobore rozerwali i tak łogin stanuł. A byłyby przy takiym wietrze całe Psary poszły w pyry."

„Podłożuł kto, czy jak?"

„Nie, to nie z podpolynio..."

„A z czegu?"

„Burza była krótko, ale mocno. Gromochron w chate uderzuł i zapoliło sie", — rzeczowo objaśnił przyczynę pożaru pan Kosmala.

„A w Berlinie tyżeś łognie gasiuł?"

„W Berlinie, to szkiebry mieli swoje zawodowe sikwy. Strażoki w dzień i w noc siedzieli gotowe. A sikwy tam mieli jak smoki. Jak jachali na ulicach, to czyste szatany, tak dzwonili i trombili."

„Tyś tyż trombiuł?"

„Jo nie. Jo sie trombinio nauczułym przy wojsku, jak w Poczdamie w gardzie Wilyma stojołym."

„A Wilusia widziołeś?" — zapytuje Walek zaciekawiony.

„Jakbym ciebie tu widzioł."

„Wyciyrosz", nie dowierza Walek.

„Żebym tak z biydy wypsioł, nie wyciyrom", — zapewnia uroczyście Kosmala. I nuże opowiadać jak to tam było. Jak w „kosiarach", a jak na „wasze". I na paradzie „na Kaisersgeburtstag". „Gywyjer iber, gywyjer ab!" A potem „maniebry". „Cholera, nie maniebry."

Rozognił się pan Kosmala. Popił znowu i dalej opowiada. I widzi tak:

Lata minione maszerują przed nim, jak regimenty na paradzie. A wszystkie takie wyraźne i twarde, jak mocny, równy krok „gemajna". A soczyste, jak przekleństwa „feldwebla". I barwne, ale tak w barwach niedobrane, jak kolory paradnego pruskiego munduru.

Rozognił się pan Kosmala. Popije i dalej maszeruje.

Cechmistrz ciężkie, żylaste ręce na udach wsparł, głowę zwiesił i niewiadomo, słucha, czy śpi zgoła.

Mistrz Walenty słucha. To pewne. Bo aż mu się gęba rozwarła. Ale czy wszystko rozumie, niewiadomo. Co pewien czas, ni stąd ni zowąd, przerywa opowiadającemu tem samem zawsze pytaniem:

„A Wilusia widziołeś?"

„Widziołym", — odmachnie pytanie Kosmala i dalej jedzie; a coraz to głośniej, a coraz to ciekawiej.

Nawet panna Fela, a tak się zasłuchała, tak się z wielkiej ciekawości ku opowiadającemu przechyliła, iż nawet nie zauważyła, jak jej obfity biust wielkim ciężarem na stół opadł, a wycięcie suknie tak się odchyliło, że mistrz Walenty jeszcze szerzej gębę otworzył.

A pan Kosmala już był wyruszył na wojnę. Na jakąś dziwną wojnę. Bo mu się poplątały wszystkie fronty i pola bitew. Wojna była za „Kaisera i Vaterland", tak powiada.

Jak trąbił w „kosiarach", tak też i trąbił w okopach. Dobrze trąbił, bo krzyż żelazny dostał. Nie wiadomo tylko, kto mu go przypiął. Sam Kaiser, czy tylko Hindenburg. Raz ten, raz tamten, a jeden przecież tylko krzyż był. Ale mniejsza.

„Zaś potym, nom Francuz, takie lonie po portkach sprawiuł, że my aż do Vaterlandu uciekli. A tu już sie Polska zaczyno robić..."

„A Wilusia widziołeś?" — znowu zapyta mistrz Walenty.

„Wilusia..." zastanawia się Kosmala — „czekejno Walek". — —

„Wilusia" — — przecież, że widziołym. A to było tak:

„...Przyjjachali z Hamburga marynorze i mówiom: Kosmala, na pałac idymy. Dobra jest, powiadom, ide tyż. Gywejry „einz, zwei", naflancowane i marsz, marsz. Obersta my spotkali jednygu, drugiygu. Naszywki my im oderwali, myntole tyż i po papie im. Tak my pod pałac zaśli. A tu wacha przewalono, wacha przewalono...

— „A Wilusia widziołeś?" —

Ale Kosmali nie Wiluś, tylko wacha w głowie. „Przewalono, czy nie przewalono. A pałac był czy nie był. Był czy nie? — był! I wacha przewalono i już, i ani mucha nie usiondzie."

Więc już panu Kosmali wszystko jedno, jak tam było na prawdę. Jak widzi, to co opowiada, to widać było. A widzi, widzi: Cesarski pałac cały w złocie, a on Kosmala prowadzi nań marynarzy. „Polska sie robi, psiakrew, i... Wiluś zginąć musi". Więc hurra! wrzeszczy i leci — a za nim drudzy. Bramę kolbami wytłukli, jakby ze szkła tylko była. Schody przed nimi szerokie, całe białe, marmurowe. „A na górze Kaizer stoi taki blady jak te schody, i korune co pryndzy ze łba zdymuje z tegu strachu. A przy niym jego Augusta stoi, Kronprinca za rynke trzymie i beczy..."

„Przecież Wiktortja-Augusta już wtedy nie żyła" — prostuje panna Fela.

„Żyła, czy nie żyła, jak mówie, że stoi to stoi i ani mucha nie usiondzie." Przecie widze, nie? Wiync już chciołym Wilemowi dziure w brzuchu zrobić, ale Augusta tak płacze, że mi sie miyntko zrobiyło. Wynochy, powiadom do Wilyma, pukiś cały. Wilem kjert zrobiół i zmyro. A jo już nic, tylko liktorz śrybny wziułym i tym liktorzym Wilyma bez główke troche smarnołym roz i drugi, żeby mioł pamiontke."

„I zmyrnuł?" —

„Zmyrnuł. Wilem bez kuchniom do Holandyji a my do Poznania. W Poznaniu my zaś potym Polske robili na Placu Wolności. To byli czasy, to byli czasy...

Aż się Kosmala cały rozpromienił od tego wspomnienia.

„Stojeli my jedyn z drugiym na placu, a Ignac Padarewski przemówioł. Becześ nom sie, starym chłopom, chciało od tegu mówiynio. Szkoda tylko, że tak daleko od nos stojoł, że nic nie można było usłyszeć z tegu co mówi."

Rozrzewnił się pan Kosmala i nos rękawem głośno wytarł.

„A Wilusia widziołeś?" pyta znów mistrz Walenty.

„Gupiś Walek!" — odpalił natręta Kosmala i z trudem z krzesła się podnosi. Nogi mu się plączą, i zachwiał się tak jakby się już wywalić miał. Ale nie. Wsparł się rękami o blat stołu, głowę zadarł a jego siwe, spłowiałe oczy tak się dziwnie świecą... Stoi chwilę, powietrza zaczerpnie i śpiewać nagle zacznie.

„Czegu ryczysz?" dziwi się cechmistrz, obudzony straszliwym basem Kosmali.

Ale Kosmala na nic nie zważa. Zupełnie jakby go tu nie było. Jakby nie w knajpie stał a na rynku w dniu Trzeciego Maja. Przerywa mu cechmistrz, przerywa panna Fela, a on nic. Spiewa i fałszuje wytrwale do końca:

„...Pójdziym, gdy za-agrzmi zło-oty róg...

Trzasnęły drzwi knajpy gwałtownie rozwarte.

„Jest trąba!"

Wpadł jak bomba pan sekretarz, zdyszany mocno i spocony.

„Ma pan tu swoją trąbę. Ledwom ją znalazł. Ale teraz jazda, bo już pewnie połowa szpitala poszła z dymem. Psiakrew z takiemi porządkami. No Kosmala, prędzej!"

Stoi Kosmala, przy stole, trąbę oburącz ściska, nic nie mówi, i tylko chwieje się wolno, jak chorągiew na procesji.

Patrzy sekretarz zdziwiony. „Przecież ten chłop spił się jak bela" — konstatuje ze zgrozą. „I kto mi teraz straż zaalarmuje?", zapytuje bezradny.

A Kosmala chwieje się nad stołem, trąbę ściska i płacze. Targa go sekretarz za rękaw: „Kosmala! Kosmala! — trąbić trzeba".

„Co?"

„Trzeba trąbić!"

Jakby się nagle ocknął, jakby nagle zrozumiał. Hełm na łeb wcisnął i ruszył od stołu ku drzwiom. Chwiał się, bo chwiał, ale przecież szedł. Wcale pewnym krokiem wyszedł na ulicę. Stanął na środku jezdni i rozgląda się. Zamroczyła go fala świeżego powietrza, czy co? Nie, już ruszył przed siebie, potykając się o nierówne kamienie bruku. I szedł tak kilkadziesiąt kroków. Aż się zatrzyma, trąbę do ust podniesie i — zagra.

Jak zarzynana owca, tak beczy trąbka strażaka. Przeciągle, żałośnie. Raz, i zaraz drugi.

Obudzi się spokojna uliczka. Zdziwią się domy i przestraszą. Zbiegną się zewsząd dzieciaki i gromadą otoczą trębacza. A on idzie coraz dalej i dalej. Co chwila przystanie i zatrąbi. Zawsze dwa razy długo, na znak, że pożar wybuchł w samem mieście.

Ożywią się ulice i uliczki. Wypełni je szmer zapytań i zawołań, jak woda wzbierająca wypełnia wyschnięte koryta.

Pan Kosmala nie odpowiada na nieustanne zapytania. Nie ma czasu. Musi przecież alarmować. A wszystko musi być porządnie i dokładnie. Co kilkadziesiąt kroków zatrzymuje się i trąbi. Trąbi jaknajgłośniej. Trzeba aby go wszędzie słyszano. Wszędzie. I przy najbardziej zapomnianej uliczce. I w najodleglejszym domku.

Podbiegnie ktoś nagle do niego, ciżbę dzieciaków roztrąci i za ramię chwyci:

— „Człowieku! woła, poco trąbisz? poco ludzi niepokoisz?, straży pożarnej już nie potrzeba. Już dawno po pożarze. Zagaszono ogień przy pomocy sąsiadów."

Spojrzy Kosmala na mówiącego swemi siwemi, spłowiałemi źrenicami:

„Nima łognia?" zapyta.

„Niema ognia. Już dawno po pożarze, już dawno ogień zalano..."

Uśmiechnie się pan Kosmala pobłażliwie, głową w hełm zamkniętą z politowaniem pokiwa, a potem brwi zmarszczy i ręką wyciągniętą wysoko przed siebie wskaże.

Pali się. Pali się całe miasto. Ogromna purpurowo-złota łuna pożaru rozlała się szeroko po niebie. Ponad dachami domów, pomiędzy szeroką sylwetą ratusza a potężną wieżycą kościelną, płonie żywym ogniem krwawiąca tarcza zachodzącego słońca...

Pan Kosmala tchu w płuca, jak w miechy kowalskie zaczerpnie, głowę wysoko zadrze, trąbę do ust podniesie i zagra. Głośno. Przeciągle. Żałośnie.

ALFONS SZYPERSKI:

GEOGRAFJA TALENTÓW WIELKOPOLSKICH

(Dokończenie.)

Z pod Jarocina mamy do zanotowania tylko jedno nazwisko głośniejsze, *Alfreda Brandowskiego* (ur. 1835 r. w Wilkowyi), profesora filologji klasycznej w Uniw. Jagiell. Brandowski, także historyk, krytyk i filolog polski (pisał o Kochanowskim) był współpracownikiem poznańskiej „Warty". Tu również umieszczał swe prace *ks. Aleksander Brandowski*, zamiłowany historyk, znawca dziejów boreckiego Zdzieża.

Dziejami miasta Krotoszyna zasłużył się *Kazimierz Krotoski* (przedtem Szkaradek), historyk.

Zaznaczamy wkońcu, że Pomorzan a także Polaków z innych części Polski, działających przez dłuższy czas w Wielkopolsce i ściśle z losami tej ziemi związanych było kilku. Dla przykładu wymieńmy Stanisława Koźmiana z Lubelszczyzny, slawistów z Pomorza prof. K. Schulza i ks. Franciszka Malinowskiego (1807—1881), proboszcza w Komornikach pod Poznaniem, założycieli Tow. Przyjaciół Nauk (1857 r.).

* * *

Oto niedokładny i niewyczerpujący obrazek kultury polskiej na wycinku przedewszystkiem humanistycznym w odbiciu nazwisk z ziemi wielkopolskiej. Punkt ciężkości położyliśmy na wiek XIX. Tylko dla pełni obrazu, dla podkreślenia wydajności pewnych ziem przytaczaliśmy tu i ówdzie nazwiska niefilozofów. Listę zasłużonych możnaby wydłużać. Czyż nie pracowali piórem lub nie wnosili wartości kulturalnych do zdobyczy ogólnych niektórzy członkowie takich rodów jak: *Raczyńscy, Działyńscy, Ponińscy, Sokolniccy, Niegolewscy* itd. czyż nie grzmieli krasomówczem słowem tacy kaznodzieje jak arcybiskup *Fl. Stablewski*, czyż nic nie znaczą w dziejach Wielkopolski nazwiska: *Chociszewski* (1837—1914). *Turzyński, Paliński* i cała plejada mniej lub więcej znanych, albo zgoła zapomnianych? W pamięci tylko spejalistów żyje nazwisko takiego naprzykład *Ptaka - Ptaszyńskiego* (rodzina pochodziła z wrzesińskiego Kaczanowa), skromnego archiwarjusza w grodzie kościańskim, a pierwszego w Polsce zbieracza nazw polnych (po niem. Flurnamen, osobny dział nazw miejscowych i badań; Niemcy mają już bibljografję zbiorów tych nazw, u nas początki). Ptaszyński zostawił w rękopisie (Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu) cztery tomy źródeł nazw topograficznych z Kościańskiego. Oto przykład jak gruba niepamięć pokryła niektóre jednostki. Obraz talentów byłby bez porównania pełniejszy, gdybyśmy objęli wszystkie dziedziny twórczości duchowej. Wszędzie tu ludzie znani wartościowi.

Co się w naszym przeglądzie nazwisk rzuca w oczy? Najlepszemi wynikami może się Wielkopolska poszczycić na polu nauk filologiczno-historycznych. To jej dorobek zasadniczy. Sprzyjały temu i warunki historyczne, pozytywne (Niemcy uważali filologję za koronę nauk humanistycznych, świetnie rozwijały się gimnazja filologiczne) i negatywne (utrata państwowości) oraz dyspozycje psychiczne Wielkopolan do tego typu badań. W dziedzinie dociekań historycznych trzeba podkreślić wybitny udział duchowieństwa, więcej zaangażowanego naukowo tu niż w reszcie Polski. Zkolei osiągnęła Wielkopolska trwałe wyniki na terenie badań przyrodniczych, szeroko pojętych. Nie uwidacznia się to dobitnie w naszym przeglądzie nazwisk, bo ten dział nauki, który dziś od humanistyki wyraźnie się odłączył, potraktowaliśmy ubocznie. Pominęliśmy milczeniem wielu znanych przyrodników, dość wymienić chociaż prof. uniw. *Teofila Ciesielskiego*, ur. 1847 r. w Grabowie.

Na trzeciem miejscu postawilibyśmy literaturę piękną, nie ilością autorów, bo tych było wielu, lecz jakością ich twórczości. To jednak, rzecz osobliwa, spostrzegamy najskrajniejsze kontrasty: obok miernoty literackiej weszły na horyzont takie gwiazdy, jakich nie powstydziłaby się żadna, o najwspanialszej tradycji, część Polski. Sytuację uratowały Kujawy. — Na końcu sztuki plastyczne. Panowało tu i panuje widoczne zaniedbanie czy wprost beztalencie. Trudno mówić o malarstwie, rzeźbie czy architekturze

wielkopolskiej, mimo kilku, jednak nierozwiniętych talentów. Lwów wydał Grottgera, Kraków Matejkę, Poznań *Władysława Mottego,* syna *Marcelego,* cenionego autora „Przechadzek po Poznaniu". Władysław Motty (1851—1894) był niewątpliwie znakomitym rysownikiem i ilustratorem, a nawet dość dobrym literatem, aleź jak mu daleko na parnas malarstwa polskiego. Wiek XIX smutnie zapisał się w dziejach architektury poznańskiej — pisze warszawski Tygodnik Ilustrowany w 1903 r. Można dodać: i w dziejach rzeźby. Sytuację ratowali jak mogli i umieli *Tomasz Pajzderski i Władysław Marcinkowski.* Prace drugiego oglądała Zachęta warszawska i poważne wystawy zagraniczne. Ale to nie nasz temat. Zauważmy jeno, że i dzisiejsza rzeźba wielkopolska nie osiąga jeszcze poziomu wysokich wymagań plastycznych (np. Rożek).

Wiele możnaby jeszcze pisać o tych pracownikach umysłowych, co zajmowali zwykle stanowiska w szkołach średnich i ogłaszali drobniejsze prace naukowe. Liczni z nich wędrowali do Małopolski lub do Królestwa i rozwijali na nowych placówkach owocną działalność społeczną, pedagogiczną, kierowali szkołami. Wykładali w szkołach rosyjskich — rzecz dość niezwykła wobec nieznajomości jęz. rosyjskiego w Wielkopolsce. Wymieńmy tą chociaż *Leona Szyperskiego* z Gleśna (1835—1922), wzorowego pedagoga i wszechstronnie przygotowanego filologa, uczącego w Warszawie, Włocławku i Kaliszu oraz *Antoniego Celichowskiego* (1818—1909) z Borzykowa, równie znanego jak Szyperski pedagoga, filologa w Warszawie i w Sandomierskiem. „Nauka czytania i pisania" tego skromnego człowieka rozeszła się w 200.000 egzemplarzy, co jest niemałą zasługą kulturalno-społeczną.

Czyż te wszystkie tradycje ciągnące się do daty śmierci Kasprowicza, daty symbolicznej, zamykającej niewątpliwie pewien okres dziejów kultury i umysłowości tej ziemi, o której mowa — czy te blaski przeszłości mogły utworzyć z tej urodzajnej dotąd gleby, takie rumowisko zacofania i ciemnoty siedemnastowiecznej, jakie zdawał się widzieć w latach trzydziestych dumny poeta Beskidu Emil Zegadłowicz?

Kwestja atmosfery artystycznej czy nawet umysłowej jest w dużej mierze kwestją warunków społeczno-politycznych i ekonomicznych.

Pozatem struktura psychiczna człowieka. Wielkopolanin to pozytywista, nie lubiący poezji, gardzący fantazją jak Anglik; mierzy zamiary na siły jak Amerykanin, nie siły na zamiary jak Mickiewicz - romantyk. Wyrafinowanych to racjonalista życiowy, w ramach jednakże pewnego atawistycznego konserwatyzmu. Typ logizujący, ostrożny, zamknięty w sobie, skłonny do egoizmu, nierewolucyjny. W takich warunkach trudno szukać genjuszów jak Chopin, Sienkiewicz, Mickiewicz czy Słowacki. Kurpiński był zjawiskiem niezwykłem na tle ówczesnego braku większych talentów, ale już przy Moniuszce gwałtownie maleje. — Wielkopolska z przyrodzenia jest mało muzykalna, gdzież sławni śpiewacy z tej ziemi? Inną rzeczą jest najlepsza organizacja śpiewu. — Wymienieni genjusze byli romantykami, nie wyłączając Sienkiewicza, w najgorszym razie neoromantyka. Z innem zupełnie obliczem przyszedł na świat realistyczny, twardy Kasprowicz. Dzierżą niewątpliwie prym w literaturze pięknej ziemie litewsko - ruskie i Małopolska. Pozytywizująca Wielkopolska zajęła w dziejach kultury polskiej odpowiadające jej psychice stanowisko. To wystarczy, czego innego niema powodu ani prawa od niej żądać. Krytykować jej aliterackość byłoby to przerabiać Anglików na Włochów, alba Bacha na Chopina.

Jakie wnioski z naszej geografji? Widzimy wielkie nasilenie, wielką prężność ducha w centrach Inowrocław—Żnin—Gniezno—Poznań—Koscian, a potem w południowej Wielkopolsce, z wyraźną grawitacją ku Mazowszu. Znacznie ubożej wygląda część północno-zachodnia a prawie że odłogiem leży zachód. Przyczyny tego? Zdaje się nam, że to widome dowody germanizacji. Weźmy pod uwagę dzieje kolonizacji, dawne i nowsze statystyki ludności, a zobaczymy,że centra: Chodzież,Wieleń, Międzychód, Międzyrzecz, Zbąszyń, Babimost, Wolsztyn były o wiele więcej zagrożone falą germanizacji aniżeli np.Gniezno,Września,Poznań, Gostyń itd. Regjony te, zwłaszcza Kujawy, Krotoszyn itd. stały się celem ataków niemieckich dopiero w nowszych czasach. Fala niemczyzny umacniała swoim elementem najpierw zachodnie peryferje zabranej ziemi, a potem posuwała się stopniowo ku wschodowi. To parcie na wschód potwierdzać się zdaje nasza topografja. Najnowsze spisy ludności wykazały największy odsetek polskości właśnie w starych kulturalnie ośrodkach. Gdzie więcej było Polaków, tam więcej widzimy talentów, przyjąwszy jednakową mniejwięcej siłę uzdolnień w szczepie Polan czy wogóle u Polaków zachodnich, albo ściślej u osobników zachodniego typu antropologicznego.

Zniemczone okolice i miasta wydawały pisarzy i uczonych niemieckich (np. z Kępna pochodził historyk *A. Warszauer,* z Międzychodu poeta *Karol Busse*(ur. 1872), przyczem znane są wypadki spolszczenia się Niemców, by choć wymienić sławnego bibljografa w bibljotece Załuskich *Jana Daniela Jänischa — Janockiego* (1720—1786), pierwszego naukowego bibljografa w Polsce. Czy jednak tę słabą prężność kultury polskiej wBydgoszczy i w powiecie bydgoskim, gdzie Polacy w dobie zaborów stanowili część trzecią, dalej w powiatach: międzychodzkim, międzyrzeckim, babimojskim, wschowskim, wyrzyskim,nowotomyskim,gdzie dawniej żywioł niemiecki dość gęsto siedział, całkowicie na karb germanizacji położyć można — wątpliwe. Zamało mamy materjału, by wysnuwać jakieś wnioski o innym typie Polaków tych ziem (określenia: powiat nie należy tu brać dosłownie w znaczeniu administracyjnem, myśleć raczej o pewnej okolicy), zwrócimy jednak przy sposobności uwagę na możliwość potwierdzenia naszych przypuszczeń ze strony najnowszych badań gwarowych tych okolic, które je wyraźnie odrzynają od reszty ziem tj.od środkowej Wielkopolski,a ściślej od środkowo-wschodniej. Prawdziwą atmosferą kultury polańskiej oddychamy w ziemiach: inowrocławskiej, gnieźnieńskiej,poznańskiej (ale raczej Poznań-wschód,na Wrześnię, Środę), kościańskiej, gostyńskiej i ostrowskiej. Gdyby szło o jeszcze ściślejszy wybór, to pierwszeństwo oddaćby trzeba pierwszym trzem ziemiom, tj. tym, których ośrodkami były: Kruszwica, Gniezno, Poznań. Tak więc szlakami nazwisk odkrywamy pierwotne dzieje Polski.

Nazwiska o brzmieniu niemieckiem są rzadkie. Stanowią około 9 proc. Rażąco tedy naciągnięte są uwagi nauki czy publicystyki niemieckiej o obcem rzekomo pochodzeniu przedstawicieli dawniejszej i współczesnej kultury polskiej (por. artykuł w Deutsche Wissenschaftliche Zeitschrift für Polen, zeszyt 24).

Humaniści wielkopolscy zajmowali katedry na wszystkich uniwersytetach polskich i niektórych zagranicznych. Filologję słowiańską w uniw. wrocławskim wykłada Wojciech Cybulski, po nim Władysław Nehring. W r. 1893 piastuje Nehring godność rektora uniwersytetu wrocławskiego. Profes. filologji klasycznej w uniw. Jagiellońskim, później w Insbruku, wreszcie filologji polskiej we Lwowie jest Antoni Małecki, rektor uniw. lwowskiego w r. 1872. W r. 1904 piastuje znów godność rektora tegoż uniwersytetu Antoni Kalina, profesor filologji porównawczej i jęz. słowiańskich. Kalina razem z Karłowiczem i Baudouinem de Courtenay założył Towarzystwo Ludoznawcze, był jego prezesem i redagował Lud., organ

tegoż towarzystwa. Studja Kaliny nad historją języka bułgarskiego zostały nagrodzone złotym medalem przez ks. Ferdynanda. Dalszy Wielkopolanin-humanista, profesor uniw. lwowskiego to Ludwik Ćwikliński, czterokrotny dziekan wydziału filozoficznego, wreszcie rektor w latach 1883—94.

Ćwikliński jako rektor otworzył wydział lekarski w obecności cesarza Franciszka Józefa. Zamyka grono czterech profesorów - filologów Jan Kasprowicz, trzeci rektor lwowski. Wyraźne więc związki duchowe łączą Wielkopolskę ze Lwowem, dwa kresowe bastjony kultury polskiej. Pomijamy profesorów na innych wydziałach.

W warszawskiej Szkole Głównej wykłada jednocześnie sześciu humanistów wielkopolskich: Józef Plebański, Antoni Mierzyński, Józef Przyborowski, Jan Wolfram, Zygmunt Węclewski i Henryk Struwe. Węclewski objął później katedrę fil. klasycznej w uniw. lwowskim i był jego rektorem w r. 1877—78.

Profesorem i rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego jest Kazimierz Morawski (1906), w r. 1918 prezes Akademji Umiejętności, drugim rekt. — ks. Kazimierz Zimmerman W Krakowie wykłada filologję romańską Maksymiljan Kawczyński.

Dostrzegamy też związki duchowe między Poznańskiem a Wilnem. Już dawniej podążyli tam kaznodzieja Jan z Koźmina, teolog Stanisław Grodzicki, później pracuje w Wilnie *Gwilhelm Kaliński* (1747 — 1789), uczony—teolog, profesor Szkoły Głównej Wileńskiej. W czasach Mickiewicza mieliśmy tam Śniadeckich, potem stosunki się urywają. Nic dziwnego Warunki historyczno-polityczne nie sprzyjały emigracji talentów wielkopolskich w Wileńszczyznę. Dziś nawiązujemy do dawnych tradycyj, choć niewielką wymianę sił duchowych można tu zauważyć (obecnie działa w Wilnie na polu kulturalno - artystycznem Hulewicz), mimo że szkolne kółka naukowe wielkopolskie w drugiej połowie XIX wieku wypłynęły z ducha i programu wileńskich Filomatów. Wielkopolskie tajne związki młodzieży jak Marjanie, Filomaci, Kółka T. Zana itp. czerpały obficie z ideologji młodzieży wileńskiej. Stwierdzamy więc silny wpływ Wilna na Wielkopolskę, która jednak za tę strawę patrjotyczno-społeczną odwdzięczyć się w drugiej połowie XIX w. nie mogła.

Uczeni emigrowali do miast uniw., literaci i muzycy chętnie osiadali w Warszawie (np. W. Bogusławski, K. Kurpiński, Teodor Jeske Choiński, Uładysław Rabski itd.).

Nie ulega wątpliwości, że niektórzy z wyżej wymienionych Wielkopolan rozwinęli intensywną działalność pod wpływem atmosfery naukowej, literackiej czy ogólno - kulturalnej niewielkopolskiej. Dokładny obraz talentów wielkopolskich przedstawiłby się oczywiście nieco inaczej w różnych okresach historycznych, a szczególnie w wiekach średnich. Zauważylibyśmy wtedy większą równość w rozmieszczeniu nazwisk na całem terytorjum wielkopolskiem. Akcentowały wtedy dobitnie swą żywotność miasta — dziś nędzne nieraz mieściny — które wydały wielu uczonych. Szlachcic-ziemianin się jeszcze wtedy do nauki nie garnął, był rycerzem, później rolnikiem. Kształcili się i wydawali prace naukowe synowie mieszczańscy, często przybysze niemieccy. Dziś, kiedy po wielkim obrocie koła czasu, nastał wyraźny zmierzch ziemiańskiej szlachetczyzny, obserwujemy zjawisko to samo. Mieszczaństwo i lud przychodzi do głosu. Rodzi się kultura mieszczańska i chłopska, która ma już w naszym obrazie tylu przedstawicieli. Edward Likowski — uczony, społecznik, arcybiskup i Jan Kasprowicz — genjalny poeta to najtypowsi jej przedstawiciele.



Na mapie oznaczono kropkami (210) ilość pochodzących z danej miejscowości zasłużonych Wielkopolan. Pominięto przeszło 60 nazwisk, wymienionych w niniejszej pracy.

Zapytajmy na koniec jak się przedstawia pochodzenie regjonalne przedstawicieli współczesnej kultury polskiej na odcinku wielkopolskim. Na podstawie niedokładnej encyklopedji Peretiatkowicza i Sobeskiego p. t. Współczesna kultura polska, życiorysy uczonych, literatów i artystów (Poznań 1932) możemy policzyć około 80 nazwisk z dzisiejszego województwa poznańskiego (a więc nie z całej dawnej Wielkopolski). Liczba ta odpowiada w zupełności napięciu kulturalnemu tej ziemi w drugiej połowie wieku ubiegłego z tem, że się jakość filarów kulturalnych — jak zresztą w całej Polsce — nieco obniżyła. Brak nam dziś Sienkiewiczów, Żeromskich, Kasprowiczów itd. To samo w nauce, ale zwłaszcza w literaturze i sztuce.

Poznańskie zajmuje dziś w świetle tam przytoczonych nazwisk stanowisko kulturalne wyższe od województw: łódzkiego, lubelskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego, wileńskiego, śląskiego, pomorskiego itd., nie mówiąc już o sławnej kiedyś ziemi nowogrodzkiej, stojącej teraz prawie że na szarym końcu. Przewyższają Poznańskie jedynie województwa: krakowskie i lwowskie oraz — rzecz zrozumiała — przeszło miljonowa Warszawa. Rywalizują z woj. poznańskim wojew. kieleckie i warszawskie.

Stan ten jest dla Poznańskiego bardzo pomyślny i niema powodu do narzekania na jakieś zaniedbanie intelektualno-artystyczne tej ziemi. Zorganizowano tu pracę naukową, rozwija się ruch artyst. Uniwers. stwarza fundamenty pod tradycje, jakiemi oddawna chlubią się Kraków i Lwów. Poznańczycy wzięli się do pracy z zapałem, chociaż brak im tego entuzjazmu, rozmachu i może odwagi, jaka cechuje temperamenty mazowieckie i małopolskie. Mają zato inne zalety jak wytrwałość i lepszy zmysł organizacyjny, a organizacja, warunki ekonomiczne itp. ważną odgrywają rolę w postępie kulturalnym. Przoduje mieszczaństwo. Dość słaby udział warstwy chłopskiej tłumaczy się trudnemi mimo wszystko warunkami studjów i też innemi zainteresowaniami na wsi. Ziemiaństwo zamilkło. Po świetnej tradycji szaro i pusto. Rdzennej szlachty zresztą coraz mniej wśród posesjonatów, a nowi ludzie nie dorośli jeszcze do roli

jeśli nie twórców, to choćby mecenasów. Zgasły na zawsze mające coś z uroku legendy znicze rezydencyj Mielżyńskich, Działyńskich, Zamoyskich i innych rodów. Jak mit brzmią słowa slawisty Szulca w przedmowie do swej jednej znakomitej książki — że odczytywał całe rozdziały ściśle naukowej pracy swym mecenasom, doradcom i opiekunom w Miłosławiu, gdzie miał swój letni warsztat pracy.

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie, zmienia się kultura.

M. PATECKI:

WSPOMINKI ŻYCIOWE

(Ciąg dalszy artykułu z nr. 8, 11, 14, 15 Wici Wlkp.)

Rozpętana ustawami majowemi burza kulturkampfu uderzyła z całą furją w duchowieństwo. Ks. Arcybiskup Ledóchowski, przewidując bardzo trafnie to, co nastąpiło, poczynił już naprzód odpowiednie przygotowania, aby przeciwstawić się atakowi i osłabić jego dynamiczną siłę. Jeszcze przed swem uwięzieniem zamianował na czas swej niemożności sprawowania władzy arcypasterskiej swych zastępców t. z. delegatów. Mianował ich kilku, a to z tego powodu, aby w razie uwięzienia jednego z nich mógł następca automatycznie zająć opróżnione miejsce. Nazwiska delegatów trzymane były w ścisłej tajemnicy.

Prusakom chodziło przedewszystkiem o wydobycie z ukrycia osoby delegata. Zawezwano więc przed sąd wszystkich księży dziekanów. Ci odmówili jednakże zeznań w tej mierze, za co zostali skazani na kilkomiesięczne więzienie. Z tego samego powodu uwięziono także kilku prałatów, między nimi i późniejszego arcybiskupa ks. Edwarda Likowskiego. Do więzienia poszli również ks. ks. biskupi sufragani Janiszewski i Cybichowski. Dalej uwięziono kilkuset kapłanów. Jednych za niewyjawienie nazwiska delegata, drugich za sprawowanie funkcyj duchownych w obcych parafjach bez pozwolenia władzy pruskiej, wreszcie nieomal wszystkich proboszczów, administratorów, komendarzy za to, że nie chcieli korespondować z narzuconym przez rząd zarządcą majątkami kościelnemi, osławionym Massenbachem. Prócz kar więziennych nakładano na duchowieństwo także wysokie kary pieniężne, dochodzące w niektórych przypadkach aż do 3000 marek. Niektórych duchownych wydalono następnie z granic panstwa. Dodać należy, że prócz kleru wtrącono także do więzienia tysiące osób świeckich, których jedyną winą było to, że stali wiernie przy swojej wierze i przy swej prawowitej zwierzchności duchowej.

Pomimo takiego strasznego, niesłychanego dotąd ucisku administracja kościelna funkcjonowała ku niemałemu zdziwieniu całego świata katolickiego z niesłabnącą sprawnością i siłą. Było to możliwe tylko dzięki temu, że duchowieństwo, zwarłszy się silnie w jeden front, przestrzegało skrupulatnie otrzymywane od delegata wskazówki i polecenia. Nieliczni tylko — Chwała Bogu! — znaleźli się odstępcy tak zwani proboszczowie rządowi, którzy, łasi na tłuste beneficja, uchylali karku przed rządem pruskim.

Ze szczególniejszą zaciętością i srogością występowali prusacy przeciw takim księżom, którzy nie dali się skusić i objęli zarząd nad osieroconemi parafjami z ramienia delegata arcybiskupiego, co oczywiście sprzeciwiało się ustawom majowym. Tropiono za takim księdzem jak za najohydniejszym i najniebezpieczniejszym zbrodniarzem we dnie i w nocy, po drogach i lasach, po domach prywatnych, a nawet, nie szanując miejsca świętego, i po kościołach. Na obławy wychodzili z reguły poszczególni żandarmi, niekiedy całe ich oddziały, czasami nawet całe oddziały wojska. Aby nie wpaść w ich ręce, musiał taki ksiądz znosić najprzeróżniejsze niewygody, musiał tułać się jak włóczęga z miejsca na miejsce, musiał wysilać swój umysł, aby wybrnąć szczęśliwie z niebezpiecznej sytuacji i fortelami przewyższyć i pobić swego prześladowcę. W tej nierównej walce z całą fizyczną przemocą wrogiego państwa nie był ksiądz odosobniony. Szło za nim ławą całe społeczeństwo. Solidarność była niezwykła. Każdy bez wyjątku, czy to postawiony społecznie wysoko, czy też pracujący ciężko w pocie czoła na najemnem, uważał sobie za święty obowiązek, niejako za przykazanie Boskie, nie dopuścić do tego, by prześladowanemu księdzu stała się jakakolwiek krzywda. Wszyscy, w bliższej i dalszej okolicy, parafjanie i nieparafjanie, czuwali nad jego bezpieczeństwem, informując go na czas, skoro tylko zauważyli jakieś podejrzane ruchy. W chwilach krytycznych zaś postawa ludności była tak napięta, tak zdecydowana, że trzeba było użyć niemałej siły wymowy, aby uspokoić wzburzone umysły i nie dopuścić do zajść jeszcze gorszych.

Unosił się wtedy nad ziemią wielkopolską rzadko spotykany duch jednomyślności, ofiarności, poświęcenia, pod którego ożywczem tchnieniem budziło się nieodparcie drzemiące dotąd poczucie odrębności plemiennej, samowiedzy, świadomości narodowej.

Znałem jednego takiego księdza. Był nim ks. Piotr z Kotłowa pod Mikstatem. Tak go powszechnie nazywano, chociaż to było tylko, celem zmylenia czujności władz, imię przybrane. Dopiero kilka lat później, gdy wpadł w ręce prusaków i został skazany na więzienie, ujawniło się jego właściwe imię i nazwisko: ks. Walenty Śmigielski, późniejszy proboszcz ostrowski.

Po śmierci ks. Tomaszewskiego powierzyła mu działająca w ukryciu władza kościelna (delegat) zarząd nad osieroconą parafją kotłowską. Parafja rozległa, kilka tysięcy dusz licząca. Kościół parafjalny w Kotłowie, stara budowla w stylu romańskim, stoi na dość wyniosłem wzgórzu, skąd roztacza się przecudny widok na kilkanaście kilometrów wokoła. W czasie pogody widać go nawet z Ostrzeszowa. W parafji znajduje się kościół filjalny w Chynowie, budynek niski, drewniany, położony wśród zabudowań wiejskich.

Właścicielem folwarku w Kotłowie był p. Stanisław Wonster, człowiek bardzo szlachetnego serca, kalwin wprawdzie, ale odnoszący się nadzwyczaj życzliwie do spraw katolickich, w szczególności do ks. Piotra. Dom p. Wonstra stał literalnie dla ks. Piotra otworem o każdej porze dnia i nocy. Korzystał też z tej uprzejmości ksiądz Piotr bardzo chętnie, tem chętniej, że p. Wonster umiał sobie poradzić z nachodzącemi mu dom żandarmami i trzymał ich z daleka. Pomimo to nie obeszło się bez drażliwych sytuacji, zagrażających bezpieczeństwu ks. Piotra, tak że p. Wonster wywoził kilkakrotnie osobiście przebranego księdza w inne, w danej chwili bezpieczniejsze, miejsce.

Mimochodem należy wspomnąć o uczuciach obywatelskich i patrjotycznych p. Wonstra, który, umierając bezżenny, zapisał cały swój majątek na rzecz Tow. Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Wykonawcą testamentu wyznaczył swego najlepszego przyjaciela, którym był mój wuj, rodzony brat mej matki, Antoni Nowakowski, mieszkający podówczas w Mikstacie. I właśnie mój wuj regulował w Dyrekcji Towarzystwa Pomocy Naukowej spadek po p. Wonstrze, wpłacając go jako legat imienia testatora.

Gdzie miałem szczęście poznań ks. Piotra?

Otóż w domu mego wujostwa w Mikstacie, dokąd wyjeżdżaliśmy dość często z Ostrzeszowa w odwiedziny. Spotkaliśmy tam kilkakrotnie pewnego wysokiego pana, ubranego po cywilnemu, z czarnym zarostem na twarzy. Nikt nie byłby przypuszczał, że to może być ksiądz, tem mniej ten właśnie, na którego wspomnienie denerwowały i wściekały się władze państwa pruskiego. Niezapomniana dla mnie chwila, kiedy pewnego razu ks. Piotr, zabawiając towarzystwo dowcipnem opowiadaniem o tem, jak to wywiódł w pole całą sforę żandarmską, nagle zamilkł i niezwykle spoważniał. Idąc za jego wzrokiem, patrzymy również w okno. A tu na ulicy żandarm stoi, ten sam, który często deptał księdzu po pietach. Na szczęście nie przeczuwał, że był tak bliski swej ofiary. Zdarzało się także niekiedy, że ks. Piotr nocował u wujostwa. Wogóle sprawa noclegów stanowiła kwestję nader ważną. W czasach intensywniejszej akcji prześladowczej nie noclegował ks. Piotr dwa razy z rzędu na tem samem miejscu. Raz w domu jednego z ziemian okolicznych, to znowu u jakiego gospodarza, raz w obrębie parafji, to znowu poza jej granicami, raz w wygodnem łóżku z pościelą, to znowu w stodole na słomie lub sianie. Bywało, że czasami i takie skromnie posłanie trzeba było w pośpiechu opuścić i uchodzić niepostrzeżenie tylnemi furtkami, bo u frontu już się dobijali żandarmi.

W jaki sposób odbywała się praca duszpasterska ks. Piotra?

Przeważnie odbywało się nabożeństwo w Chynowie ze względu na mało widoczny kościół, znacznie rzadziej zaś we wpadającym łatwo w oczy kościele kotłowskim. Z reguły odprawiała się msza św. rychło rano o godzinie 4, 5, 6, zależnie od pory roku. Gdy się dzień rozpoczął, już było po nabożeństwie. Mszę św. poprzedzało słuchanie spowiedzi. O tak rychłej porze odbywało się także przygotowanie dzieci do sakramentów św. Podczas nabożeństwa rozstawione były, jak w czasie wojny, czaty na drogach, prowadzących do wsi, aby uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek. Pomimo tej czujności zdarzało się, że czasami polami i opłotkami dostawali się żandarmi przed sam kościół. W każdej wsi, należącej do parafji, ustanowieni byli zaufani, którym znany był pobyt księdza w danej chwili. Do nich to zwracali się parafjanie, gdy chodziło o jakąś nagłą pomoc religijną np. do chorego. Naczelnym zaufanym był p. Wonster w Kotłowie.

O rozmaitych zasadzkach żandarmskich, o różnych niebezpiecznych przejściach ks. Piotra opowiadano sobie w całej okolicy niezwykłe rzeczy. Przekonałem się później, że nie wszystko, co mówiono, odpowiadało rzeczywistości. Rzecz ludzka, oczywiście nadawać niektórym zdarzeniom koloryt nadzwyczajny, cudowny. Pragnę jednak opowiedzieć coś, co wyszło z ust samego księdza i co wskutek tego zasługuje na to, aby uważać to za rzecz zupełnie wiarogodną. Byłem podczas opowiadania obecny w Mikstacie u wyżej wspomnianego

wujostwa, a było to w pewną niedzielę na początku maja.

Niechaj zabierze głos sam ks. Piotr:

...Szaro jest jeszcze na niebie i ja słucham spowiedzi w kościele. Nagle jakiś ciemny kontur postaci zamajaczył przed samym konfesjonałem. Patrzę ciekawie, ale osoby rozeznać nie mogę. W tem mówi mi penitentka: Widzi jegomość, to komisarz z Ludwikowa. (Pruscy komisarze policyjni odpowiadali mniejwięcej dzisiejszym wójtom, zakres ich kompetencji był jednakże znacznie szerszy.) W tej chwili skuliłem się w siedzenik i skryłem w konfesjonale. Całe moje szczęście, że nie miałem na sobie komży i stułę nałożyłem na szynel. Komisarz mnie nie zauważył. Ludzie cisną się gwałtem do kościoła i zapełniają go szczelnie. Komisarz wychodzi. Opuszczam konfesjonał i idę do zakrystji. Tu dowiaduję się, że przed kościołem stoi kilkunastu żandarmów pod komendą komisarza. Źle, myślę sobie, zamkną cię teraz do ciupy. (Cdn.)

LISTY Z REGJONÓW

Z LESZNA

Dzięki krwawemu wysiłkowi Powstańca Wielkopolskiego miasto Leszno dostało się 17. stycznia 1920 r. pod opiekuńcze skrzydła Orła Białego. Zniemczone niemal całkowicie jeszcze w dobie przedwojennej, rojące się od zamożnego, germanofilskiego żydostwa, jest dzisiaj jednem z najbardziej polskich miast naszego Państwa. Jak się to stać mogło, zapyta niejeden? Czyżby ty był cud?

Niewątpliwie, wygląda to wszystko na cud, który jednak nietrudno wytłumaczyć zupełnie naturalnemi przyczynami.

Niemcy, przerażeni niespodziewanym dla nich obrotem dziejowego koła, opuścili miasto gromadnie, przenosząc się do Niemiec a pozostała garstka, jakkolwiek zwarta w sobie, jednolita, świadoma swego zadania, nie może wycisnąć na Lesznie germańskiego piętna i rozpływa się w otoczeniu idącego naprzód polskiego żywiołu.

Na miejsce czasowych jedynie, narzuconych miastu w ciągu niewoli Niemców, napłynęły do Leszna różnorodne fale rodaków z Poznańskiego, Westfalji, Małopolski, Kongresówki, ze Śląska, Wschodnich Kresów, z głębi Rosji a nawet Syberji i Ameryki. Stąd ludność polska w Lesznie przedstawia ciekawą mozaikę, znakomite odbicie rozprószonego niegdyś po kuli ziemskiej rozbitego na zabory i emigrację narodu.

Stąd też pochodzi brak żywej tradycji w mieście, która się dopiero wytwarza w nowej, polskiej rzeczywistości. W leszczyńskim tyglu topią się różne naleciałości niewolne, znikają parafjalne horyzonty myślenia a powstaje nowy typ obywatela, rokującego na przyszłość piękne nadzieje.

Temu procesowi sprzyja w wysokiej mierze niewielkie stosunkowo zróżniczkowanie partyjno - polityczne i nieznaczne tarcia w porównaniu z tem, co się dzieje w innych miastach Wielkopolski.

Miasto nasze przybiera zdecydowanie charakter kresowego grodu, reduty polskości, wysuniętej frontem bojowym ku niewyzwolonym jeszcze ziemiom na bliskim Zachodzie.

Jeszcze w r. 1920 znajdowało się tutaj około 90% Niemców, nieco Żydów i zaledwie 8% Polaków. Dziś stosunek ten się odwrócił i Leszno posiada około 18.000 Polaków, niespełna 900 Niemców a Żydów przybywa sporo przez „bramę kaliską", co zresztą jest nieuniknionym, aczkolwiek smutnym i niepożądanym procesem.

Ruch umysłowy Leszna płynie wcale szerokiem i głębokiem korytem dzięki licznemu zastępowi zapaleńców pracy społeczno - narodowej, rekrutujących się przeważnie ze sfer pedagogicznych, inteligencji i narodowo wyrobionego obywatelstwa. Nadmierny stale przerost przeróżnych towarzystw i organizacyj (przeszło setka!!) osłabia tempo roboty i utrudnia scentralizowanie ruchu umysłowego w zakresie szerzenia wiedzy o Polsce zarówno w mieście, jak i w powiecie, gdzie w niektórych osiedlach Niemcy stanowią poważny odsetek ludności.

Leszno jest dziś, podobnie jak za czasów niemieckich, miastem szkół i urzędników. Mamy tu dwa gimnazja polskie, dwa seminarja, szkołę budowlaną, szkołę handlową męską i żeńską, szkołę gospodarczą, szkołę rolniczą, trzy szkoły powszechne i szkołę muzyczną. W ubiegłym roku uczyniono Lesznu wielką krzywdę przez zwinięcie sądu okręgowego, co nie pozostanie bez ujemnego wpływu na rozwój stosunków w mieście. Na dobitek złego mówi się jeszcze o przeniesieniu z Leszna obu pułków, cieszących się u obywatelstwa niezwykłą sympatją.

Jeśli chodzi o przedstawienie życia umysłowego w naszem mieście, to jest ono tak bujne, że należałoby je rozbić na trzy walne pozycje a mianowicie: muzykę, odczyty i wykłady, wreszcie teatr i kolejno każdy z tych działów omówić szczegółowo. Z tego powodu niniejszy artykuł sprawozdawczy dotknie tylko powierzchownie tych kwestyj, pozostawiając dokładniejsze omówienie na najbliższą przyszłość.

Na szczególną uwagę zasługuje niebyle wysoki, jak na prowincjonalne, zaledwie 20 tysięczne miasto, poziom kultury muzycznej, który stale wznosi się coraz wyżej dzięki w pierwszym rzędzie orkiestrze 55 p. p. i jej znakomitemu kapelm. por. Olszewskiemu, licznym towarzystwom muzycznym, śpiewackim i znacznemu zastępowi poważnych miłośników muzyki.

Wykłady, odczyty, pogadanki, prowadzone niemal co tydzień przez miejscowych działaczy oświatowych, cieszą się u obywatelstwa wielką wziętością.

W mieście wychodzą obecnie dwa dzienniki, na przeciwnych sobie stojące biegunach, a z broszur i książek, drukowanych w Lesznie, należy wymienić: „W pierwszą rocznicę oswobodzenia Leszna" ks. Tad. Kopczyńskiego, ogromnie ciekawy, oparty na różnych dokumentach i źródłach „Ilustrowany opis miasta Leszna i ziemi leszczyńskiej" dr. Bron. Świderskiego, najpopularniejszej i najbardziej zasłużonej postaci w Lesznie, „O rozwoju kultury i oświaty miasta Leszna" p. Matejkowej, piękną „Jednodniówkę" harcerską, jednodniówkę „Dziesięciolecia Leszna", niesamowitą nieco powieść „Niezwykły pomysł dr Anaperta" Zyg. Dolińskiego a w ubiegłym roku rozpoczęło żywot ogromnie pożądane na naszym gruncie czasopismo regjonalne „Ziemia Leszczyńska".

Język polski panuje u nas bezwzględnie Zachwaszczony początkowo licznemi germanizmami, obecnie, dzięki polskiej szkole, wojsku, inteligencji i uświadomionemu obywatelstwu, nie różni się niczem od języka Poznania, Warszawy czy Krakowa, co tak mile uderzyło prof. Szobera, który bawił tutaj dwukrotnie w charakterze prelegenta.

To, co się napisało powyżej, pozwala snuć optymistyczne na przyszłość wnioski. Leszno, które w latach przedwojennych, w czasach szalejącego hakatyzmu, potrafiło uratować od zagłady tulącego się po kątach ducha narodowego, dziś, w szczęśliwych warunkach, zdobędzie się niewątpliwie na czyn daleko zuchwalszy, tj. pocznie oddziaływać na polskie z historji i tradycji ziemie zakordonowe, z któremi związane jest licznemi węzłami pokrewieństwa tak duchowej, jak i materjalnej natury.

Juljan Szpunar.

Z SZAMOTUŁ

Nad małą Sarną, co tuła się długo nim w Warcie zginie, na szerokiej nizinie rozsiadło się ładne i czyste miasto.

Szamotuły to przedewszystkiem miasto przeszłości. Stąd ród swój wywodzą Szamotulscy, którzy wydali 20 senatorów, 8 wojewodów i 20 kasztelanów. Później Górkowie, Rokossowscy, Mycielscy... Tutaj rodzili się profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Jan, Mateusz, Grzegorz i Wacław, zarazem największy polski kompozytor kościelny, co z genjalnym Palestriną stanął w szrankach; dalej drugi Wacław — wierszopis, palihistor Johnston, pułkownik E. Callier, historyk i geograf, drugi kompozytor Ksawery Scharwenka, Polak z twórczości, malarz Rabes, polityk Teofil Magdziński (ur. 1818) i wielu innych.

Piękna kolegjata liczy już lat przeszło czterysta. Do niej to podziemnym gankiem przez lat czternaście miała chodzić w żelaznej masce nieszczęsna Halszka z Ostroga — „Czarna Księżniczka" — czego świadectwem istniejąca jeszcze baszta. Na tem tle trzech szamotulaków pisze operetkę! Myślano też o urządzeniu w baszcie muzeum regjonalnego, ale sprawa utknęła.

Jeszcze kilka zabytków: grobowiec Andrzeja Szamotulskiego, dzieło Piotra Vischera, Jakóba Rokossowskiego, dzieło najprawdopodobniej Hieronima Canavesiego, boczny ołtarz z obozu Jana III. z pod Wiednia, słynący wielu cudami obraz N. M. P., o której lud śpiewa: „Witaj śliczna i dziedziczna Szamotuł Pani! My poddaństwa Twego państwa Szamotulani pod nogi się ścielimy, Twej pomocy żebrzemy: chciej nas bronić i zasłonić, sług swych, Marjo!

Mocno odczuwa się brak wyczerpującej monografji. Praca Łapińskiego, napisana przed dwudziestu laty, jest dzisiaj już rzadkością bibljograficzną, a zresztą nie jest dokładna. Zdaje się, że o nowej nikt nie myśli. Ciekawe przyczynki natomiast przynosi miesięcznik młodzieży gimnazjalnej „Z grodu Halszki" i „Gazeta Szamotulska". Oba pisma ukazują się w pierwszorzędnej oficynie J. Kawalera. Zasłużony ten wydawca przez 27 lat wydał wiele książek. Świetnie podtrzymuje tradycję drukarni Braci Czeskich, pierwszej na terenie historycznej Wielkopolski. „Gazeta Sz." interesuje się wszelkiemi przejawami życia kulturalnego.

Przeszłość zmartwychwstała także w innej formie. Staraniem Akad. Koła Szamotulan wystawiono w jesieni z. r. „Wesele szamotulskie", które w czasie Zielonych Świąt r. b. odegrano z wielkim sukcesem w Poznaniu. Zasługą organizatorów jest to, że dali nam „Wesele" oryginalne, odegrane przez chłopów, niestylizowane. Do tego dochodzi twórczość młodego i utalentowanego drzeworytnika Stanisława Zgaińskiego. Oprócz kilku miejscowych „typów" dał nam wielce obiecujący artysta drzeworyty najpiękniejszych zabytków architektonicznych z całego powiatu (Kaźmierz, Słapanowo i i.).

Przy kościele pofranciszkańskim znajduje się Pomnik Powstańca, dzieła Marcina Rożka. Na cmentarzu powstańców tych leży kilkudziesięciu. Razem z grobami innych, poległych w wojnie światowej, przeszło 60...

Praca licznych towarzystw idzie normalnym trybem. Bractwo Kurkowe, założone w r. 1649, przechowuje z tego czasu akt erekcyjny Jana Kazimierza. Wielkie sukcesy zdobywa koło śpiewu „Lutnia".

Szczególnie silnie rozwija się przemysł. Mamy kilka dużych młynów (największy stanął kosztem ok. 2 milj. zł), cukrownię, olejarnię, meblarnię. Dalej gimnazjum, szkoła powszechna męska i żeńska, szkoła rolnicza, szpital, elektrownia, wodociągi,

sierociniec, przytulisko dla starców. Wspomnieć jeszcze należy o nędznych brukach, wąskich ulicach, jednopiętrowych domkach, jednotorowej linji kolejowej, okrężnej szosie do Poznania, żydowskich jarmarkach, romantyczno - sensacyjnem kinie i licznych knajpach. W ogonku idą Kasa Chorych, Urząd Skarbowy, komornik... W ogonku przed drzwiami podatnika.

Jerzy Dostatni.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Ziemia Leszczyńska

Czasopismo krajoznawcze. Rok 1932 z. 1, 2; r. 1933 z. 1, 2. Leszno. Redaktor: S. Machnikowski.

Tradycja zawsze wiele znaczy, tradycja Przyjaciela Ludu, organu niem. Aus dem Posener Lande, tradycja sławnego gimnazjum, wybitnych uczonych, znanych rodów, poważna rola niektórych działaczów innowierczych. Powołała ona do życia, nie bez wpływu sąsiedniej Kroniki Gostyńskiej Ziemię Leszczyńską, bo ma wdzięczne i bardzo rozległe pole działania. Takie pismo jest w Lesznie konieczne, nie tyle, żeby prostować kręte niekiedy ścieżki nauki niemieckiej, bo na to trzebaby organu większego, kosztowniejszego, ale by przedewszystkiem odrabiać zaległości kulturalne, z czego dobrze redakcja zdaje sobie sprawę, jak to widać z słowa wstępnego dr. Świderskiego. Pierwsze cztery zeszyty przynoszą zasadniczo dwa rodzaje prac: naukowe lub nowo opracowane na podstawie dawniejszych badań i popularnonaukowe, referujące tylko rzeczy znane. Takie połączenie jest wskazane i celowe, bo zdobywa większe koło czytelników (wśród uczniów szkolnych itp. np artykuł J. Szpunara o Karolu Kurpińskim powinien być znany każdemu inteligentniejszemu uczniowi klasy VI). Uprawianie ścisłych badań naukowych wyłącznie nie leży w interesie pism regjonalnych, mniejszych, o ile w dodatku brak oparcia o pewne i stałe źródło finansowe, co dziś jest utopją. Poza artykułem prof. Szpunara widzimy prace S Machnikowskiego (z badań nad rodem Leszczyńskich, Młodzież gimn. leszczyńskiego w pamiętnym roku 1830/31, Dzieje gimnazjum leszczyńskiego itd.), Marji Boberskiej (Zabytki artystyczne fary leszczyńskiej. Fara w Lesznie), dr. J. Wowczaka, tłumaczenie Jana Olejnika (Komeński: Zburzenie Leszna) i referowaną już na łamach Wici Wlkp. bardzo ważną pracę dr. A. Tomaszewskiego p. t. Mowa ludu polsk. w pow. leszczyńskim. — Dorobek więc dotychczasowy ciekawy, poważny, zczasem zwiększy się niewątpliwie grono współpracowników i rozmaitość zagadnień, w czem pomocną będzie znakomita bibljoteka gimnazjalna i zainteresowania krajoznawcze (podtytuł brzmi: czasopismo krajoznawcze) w Lesznie.

Sądzimy, że pismo nie wyjdzie z zakreślonych sobie ram, o ile przygodnie pamiętać też będzie o zaniedbanym kulturalnie, z punktu widzenia polskości, Rawiczu. Zdobędzie większy teren czytelników i wciągnie do współpracy tamtejszych ludzi. A. S.

Mieczysław Dereżyński:

Pułkownik Edmund Callier

żołnierz i pisarz wielkopolski W setną rocznicę urodzin. Szamotuły 1933. Wyd. Druk. nakł. J. Kawalera.

Zasłużony regjonalista, były redaktor w Szamotułach, obecnie w Inowrocławiu — M Dereżyński obdarzył Wielkopolan nową pracą, zarysem życia i działalności naukowej Edmunda Callier, starszego brata Oskara, znanego filologa, ur. w Buku. Edmund, ur. 2. X. 1833 w Szamotułach (ojciec jego pochodził z francuskiej rodziny hugenockiej) był nietylko dzielnym żołnierzem (walczył w wojskach pruskich, francuskich i włoskich, w Europie i w Małej Azji, wreszcie w powstaniu styczniowem), ale później niestrudzonym pisarzem-publicystą, redaktorem i badaczem przeszłości Wielkopolski. Nieobcą mu była także dziedzina topografji i heraldyki. E. Callier — to regjonalista w całem tego słowa znaczeniu — pisze autor. Zmarł w Poznaniu dn. 14 XII. 1893. Dzieła Calliera wykazują przeszło 20 pozycyj bibljograficznych.

Książeczka, wydana starannie, napisana potoczyście, szkicuje także portret duchowy tego bojownika o wolność i pracownika naukowego, przez co sylwetka jego zyskuje na barwach na tle ówczesnych, ciekawych czasów. Znajdzie się niewątpliwie w bibljoteczce regjonalnej każdego miłośnika przeszłości, któremu nie obojętne jest poznanie cichego bohaterstwa i mrówczej pracy zasłużonych. Szamotuły pięknie uczciły 100 rocznicę urodzin swego obywatela. S.

Kronika Miasta Poznania

Kwartalnik. Redaktor Zygmunt Zaleski. Rocznik X. Nr. 1—3.

Pisma regjonalne o charakterze naukowym jak Ziemia Leszczyńskie, Kronika Gostyńska itp. mają w Kronice Miasta Poznania żywy wzór tego rodzaju prac w obszerniejszym zakresie i na ściśle naukowym poziomie. Kronika poznańska to niejako ukoronowanie prowincjonalnych badań w stołecznym wzorze, na terenie interesów kulturalnych jednego, głównego miasta prowincji. Wydawnictwa naukowe mają zwykle to do siebie, że są dla ogółu kulturalnego „nieczytelne", niestrawne, czego w żaden sposób nie można powiedzieć o tem piśmie poznańskiem. Wielka rozmaitość tematów (historja życia politycznego, społecznego, umysłowego, religijnego, przyczynki obyczajowe, wspomnienia, listy zasłużonych itd. wreszcie dział bieżący, notatki i kronika współczesna czynią z pisma żywy obraz pulsującego rozmachem nauki miasta Poznania. Wśród współpracowników zasłużeni historycy: Pohorecki, Wojtkowski, którego prace poważniejsze cechuje równie wytworny styl jak feljetony — i wiele innych,

Szata zewnętrzna kwartalnika bardzo staranna, papier wprost luksusowy. Wydawcą jest magistrat, który nie szczędzi grosza dla spraw kulturalnych. To też może Kronika w latach biedy nie schudnie tak jak jej siostra — kosztowniejsza zresztą — Slavia Occidentalis. s.

Trzemeszno

Szkic regjonalny o niespokojnem mieście powstańców, opracował Bogdan Maciejewski. Nakładem Akademickiego Koła Trzemesznian przy U. P.

„Szkic niniejszy... ma tylko za zadanie spopularyzować to zapomniane a sławne w dziejach Wielkopolski miasteczko wśród szerokich rzesz akademickiej młodzieży regjonalnej w Poznaniu" — oto intencje autora skromnego szkicu, wydanego w formie skryptu z przedmową Stan. Waszaka Autor podaje w swym szkicu rys historyczny rozwoju swego miasta rodzinnego, z którego m i. dowiadujemy się o osobistościach, sławnych skądinąd, jak np. o Kilińskim, Jędrzeju Śniadeckim, Marjanie Langiewiczu, Ks. Zimmermanie, arcyb. Stablewskim itd. — Mamy pewne zastrzeżenia, co do słabej korekty, uogólniania faktów, co do nieczytelnych nieraz podpisów pod dobremi zresztą ilustracjami, wreszcie co do sposobu podchodzenia do tematu przez autora. J. D.

Książki nadesłane

1. Polska oświata pozaszkolna. nr. 1 r. X. 1933. Warszawa. Dwumiesięcznik Z. N. P.
2. Kronika miasta Poznania, rocznik X, nr. 1, 2 i 3. Poznań 1932. Redaktor Zygmunt Zaleski.
3. Gryf. Pismo poświęcone sprawom kaszubsko - pomorskim. Rok 9, nr. 1—3. Redaktor dr. Wł. Pniewski, Gdańsk.
4. Ks. Zygmunt Cieplucha, Kościan, 1930 str. 301. Nakł. autora.
5. Kronika Gostyńska, serja V, nr. 1—5, Gostyń, red. Wł. Stachowski.
6. Antoni Wiśniewski: Morze i jego przydawki zdobnicze w pieśniach Homera oraz żeglarstwo w starożytności klasycznej. Kępno 1933, str. 24.
7. Stan. Czernik: Rozwój ludności miasta Ostrzeszowa w ostatniem stuleciu, Ostrzeszów 1931.
8. O. J. Ostrowski: Mickiewicz w Wielkopolsce w 1831—1832, Lublin 1932.
9. Tadeusz Pietrykowski: Fr. Ksawery Tuczyński, Wielkop. pisarz ludowy. Toruń 1932, str. 54.
10. Piotr Paliński: Powiat wągrowiecki pod względem geogr., statyst., topogr., historycznym. Wągrówiec 1932.
11. Mieczysław Dereżyński: Czarna księżniczka, Halszka z Ostroga. Szamotuły 1931, str. 54.
12. Ks. Kiełczewski: Z przeszłości Pakości
13. Ks. Stan. Kozierowski: Ród Porajów Różyców, Kraków 1930.
14. Gazeta Literacka, Kraków, red. J. Gałuszka.
15. Ziemia Leszczyńska, 2 1—4 (1932-33) Leszno. Redaktor S. Machnikowski.
16. Mieczysław Dereżyński: Pułkownik Edmund Callier, żołnierz i pisarz wielkopolski. Szamotuły 1933.
17. Henryk Ułaszyn, prof. U. P. — Zasięgi klerykalizmu w Polsce powojennej, Poznań 1933 str. 48.
18. Stefan Papée — Wielkopolska wczoraj i dziś, Lwów 1933, str. 240 z ilustracjami.
19. Bożena Stelmachowska — Rok obrzędowy na Pomorzu, Toruń 1933, str. 270, Wyd. Instytutu Bałtyckiego.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Kochanowskiego 17, m. 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki, i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.